12

WIENIEC

PISMO DODATKOWE
DO
GAZETY WARSZAWSKIEJ
POŚWIĘCONE LITERATURZE

Różnéj barwy i woni kwiatki mieszczę w sobię,
Tych wonią serca pieszczę tych się barwą zdobię.

Rok drugi Tom V.

MIESIĄC SIERPIEŃ

WARSZAWA

1840.

Zofia Szepielowska.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DZIEDZICTWO FAMILIJNE.

POWIEŚĆ FRANCUZKA.

przez

Rolanda Bauchery.

I.

WRAŻENIA PODRÓŻY.

Dzięki téj potężnéj sprężynie któréj siła nie wyrachowana zdołałaby świat podnieść, parze która przebywa morza bez względu na wiatr i fale, dzięki oraz tym drogom wyrównanym i zawieszonym nad przepaściami, a których promienie żelazne przenikają wnętrze gór granito-

wych, człowiek nie jest już podobny do mrówki ciągle pełzającéj około wspólnéj siedziby; pozbył się on już téj wrodzonéj obawy zmuszającéj go do trawienia całego życia przy swojéj kolebce, tyle usiłowań ku zbliżeniu odległości obudziły w nim żądzę poznania obszerności téj ziemi która go nosi i karmi, zmierzenia wielkości ogromnego grobu gdzie zniknęło tyle pokoleń.

Ta żądza powiększyła jeńjusz, rozprzestrzeniła jego okrąg, dodała sprężystości ludzkim pomysłom. słowo granica, która się zdawała być wyższą i grubszą od muru chińskiego, pozostało wyrazem który przywodzi mu tylko na pamięć ukośny wzrok celników przychodzących rozpoznawać czyli uzyskał prawo przebycia strumienia lub niewidzialnego odgraniczenia które go w jednym z okręgów tego obszernego Babilonu wstrzymywało.

Widząc naturę wszędzie rozkoszną albo szczytną, jałową lub hojną, widząc iż ludzie są sobie podobni nawet i za morzem najmniéj znaném, sądzi się być obywatelem świata, i marzy o kraju powszechnym w którym słowa,

granica i ojczyzna będą hieroglifami niedocieczonemi.

Takie były błędne myśli krążące po głowie Adolfa Jouani (Żuani) młodzieńca 22 letniego który mniemał że jest na końcu świata, przebywając wąwóz gór panujących nad miastem Autun.

Adolf Jouani pałający żądzą sławy któréj doznawał jeszcze na ławce szkolnéj, dotąd nadęty dumą z otrzymanych nagród obiecujących mu jeszcze świetniejsze w Rzymie; Adolf mówię, przygotowany na wszystkie wzruszenia pierwszéj podróży, nie pamięta już o łzach swéj matki przy jego odjeździe, jak tylko przyrzekając sobie że je osuszy za swoim powrotem, opowiadając jéj z zapałem co widział, co uczuł, wzbudzając jéj podziwienie okazaniem swoich rysunków wystawiających rozmaite widoki tego przyrodzenia tak odmieniającego się, którego schwytał na prędce rysy, najwięcéj uderzające; gdyż niemiłosierna kareta pocztowa unosi go ciągle nie mając względu na natchnienia artysty.

Znajdować się trzy dni i trzy nocy między

niebem a ziemią, z ogłuszonemi uszami hałasem kół trących zwir drogowy, z ciałem znużonem przez trzęsienie powozu które powiększają przypadki na drodze znajdujące się; być wystawionym na upał słoneczny, kurzawę, lub chłodną wilgoć w nocy, to są nieprzyjemności na które mało się uważa podróżując, kiedy kto jest młodym jak Adolf, a do tego artystą, utyskuje on tylko na noc i sen. Dla tego też aby się mu nie poddawać nie należy się zamykać w dyliżansie gdzie nie można ani oddychać, ani działać...ale na wolném powietrzu obok konduktora który ci służy za mappę i opowiadacza, obiera się miejsce kilkodniowego osiedlenia; tam nie ma poczciwych kobietek które cię obsypują pytaniami, grzecznościami, albo żądaniami; tam nie ma nóg które nadużywając skromności twoich, męczą je nielitościwie aby tylko im było wygodnie; tam nie ma małych piesków do pieszczenia, powieści do słuchania lub opowiadania; swoboda cała i zupełna! potok powietrza cię oblewa; ruchome panorama rozwijają się ciągle przed twemi oczyma; nie utracasz ani jednego odcienia jutrzenki, przypatrujesz się

wschodowi i zachodowi słońca; tam twoje sąsiedztwo zmienia się na każdéj stacji pocztowéj, krajowy mieszkaniec zasiada na kilka godzin obok ciebie, i daje ci słyszeć mowę okolicy którą przebywasz; nie jest to kronika miejska, ale same stare legendy. Zwyczaje, obyczaje, mowę, uprzedzenia, możesz wszystkiego się dowiedzieć i ocenić, słowem podróżujesz w istocie..... Nasz młody malarz, mieszkając pod swym skórzanym daszkiem, niewygodnie siedząc na nadpowietrznéj ławeczce, coraz więcéj oceniał korzyść swego położenia i nie żalił się jak tylko na szybkość biegu. Dla tego też zamierzał stanąwszy w Lyonie odbywać dalszą podróż jeszcze skromniéj.

Płaszczem obwinięty dla ochronienia od porannego chłodu, Adolf Jouani zachwycał się tą naturą tak wielką, tak dziką, któréj lato nie szczędziło swéj różnorodnéj barwy; jego wzrok zagłębiał się pod sklepieniami drzew zielonych gdzie huczy woda potoku ze skał wytryskającego; wąwozy Autun były dla niego przepowiednią tych wielkich scen które go oczekiwały w Alpach.

Pierwsze uczucia były tak żywe że sądził być nie podobném aby doświadczył jeszcze mocniejszych. Właśnie też oddawał im się z całą szczerością, z czego konduktor uśmiechał się z litości, kiedy malarz chciał w jego duszy wzbudzić część swego zadziwienia; ale przyczyna która działała z taką potęgą na serce Adolfa, nie miała wcale przystępu do duszy, téj żyjącéj machiny któréj życie upływa na wsiadaniu i wysiadaniu z dyliżansu, na zamykaniu wszelkich otworów téj arki, toczącéj się na drodze z Paryża do Lyonu i z Lyonu do Paryża, wlekąc się zawsze jedną koleją. Ten dozorca więzienia tak surowy, który policza swych aresztautów chciwym wzrokiem, i który im zaledwie pozwala jedną sekundę czasu wolnego, ten biegły administrator który zgodnie porozumiewa się z dostarczycielami, dla umniejszenia na każdym spoczynku szczupłéj ilości żywności przez podróżnych tak drogo opłacanéj, nie odpowiadał zapalonemu młodzieńcowi jak tylko porywczemi jednozgłoskami na pół śpiący; artysta też poprzestał na powierzaniu swych myśli sobie samemu.

Czém się niecierpliwili wszyscy jadący, to sprawiało jemu radość. Jak tylko zbliżano się do jakiéj góry, otwierał swą tekę, a dzięk powolnéj jeździe mógł rysować, ale te chwili szczęśliwe znikały dla niego jak błyskawica. Lecz gdy piana ubieliła boki zmordowanych koni, politowanie brało górę nad namiętnością artysty, pragnął przybyć jak najprędzéj do wierzchołka, tak jak pierwéj chciał być od niego oddalonym.

Te szczegóły chociaż są jałowe, zdają nam się być niezbędnemi ażeby dać dobrze poznać naszego Adolfa, którego znajdujemy w wieku kiedy życie jest prawie zawsze piękném, w oddaleniu od swéj ukochanej matki i od Paryża, swego rodzinnego miasta, zapominającego o uściskach jednéj, a o sławie i szczęściu które mu drugie obiecuje... Jedna go kołysała i karmiła swém mlekiem, drugie go dotąd jeszcze podsyca nadzieją; tamtéj winien życie, od tego może pozyskać nieśmiertelność. Ale rzadko on myśli o tych dwóch dobroczyńcach, znajduje się on bowiem pod urokiem który zwyciężył tyle głę-

bokich dolegliwości, stargał tyle związków tak ściśle połączonych; nowość, oddalenie, wzięły górę nad nim.

Kiedy, czwartego dnia, uległszy na chwilę znużeniu, obudził się rzucając ciekawy wzrok przed siebie, jakież podziwienie ogarnęło go na widok ogromnego obrazu który się podczas jego snu rozwinął — Gdzież jesteśmy? zawołał zdziwiony. „ Blizko Lyonu, odpowiedział mu chrapliwy głos konduktora.

Niebo było czyste, słońce oświecało już góry Pilata. W oddaleniu Alpy iskrzyły się jak morze kryształowe którego fale zdawały się być zawieszone nad dolinami, w tyle ich. Góra biała (Mont-Blanc) chociaż ginąc w niezmierném oddaleniu, zdawała się jeszcze podnosić dla przestąpienia łańcucha gór podrzędnych, na których jakby się opierała całym swym ciężarem. Na widok tego poziomu bez granic, tych gór nagromadzonych, których szczyty rozdzierają niebiosa, a stopy pływają w oceanie mgły niknącéj za pierwszym promieniem słyńca, Adolf Jouani poczuł ściśnienie serca, jego myśli o sławie wikłać się zaczęły; szczytne dzieła

wielkich mistrzów zbladły i znikły z jego pamięci na widok tego uroczego obrazu, który tyle jenjuszów nieśmiertelnych starało się naśladować, a nie zdołali jak tylko słabe onego dać wyobrażenie. „ Trzeba powietrza, ognia, nieba, ziemi, słowem Boga, ażeby go zrobić dokładnie! przemówił, czując jak zimno zniechęcenia przenikało aż do jego serca, szczęściem zasłona szarawa, zasłona kamienna rozciągnęła się jakby urocznie nad tem co było przyczyną jego rozpaczy. Dyliżans opuszczając najwyższy punkt drogi, wjechał w wąwóz który schodz na dół wężykiem, aż do miasta osłonionego skałami de Fourvieres i So. Sebastjana; napróżno młody podróżny wychylając głowę z pojazdu starał się pochwycić jaką cząstkę tego widokręgu, każda chwila pomnażała przeszkody, i wiodła go w dół przepaści do łączącego swe wody Rodanu, gdzie zdaje się usypiać Saona, a budzić ludność robotników zamknięta w obwodzie groźnych bastjonów.

Podczas kiedy Adolf wjeżdża na przedmieście Vaise i gdy mu serce bije z radości, myśląc że wkrótce będzie wolnym, inny młody człowiek

oparty o jeden z filarów portyku wielkiego Lyońskiego Teatru, oczekuje z niemniejszą niecierpliwością na przybycie dyliżansu z Paryża. Więcéj od godziny przebiegł on już z dziesięć razy drogę od placu Terreaux do miejsca gdzie się zatrzymują dyliżanse: może już ze dwadzieścia razy dobył z kieszeni drogiego zegarka, nie dla tego żeby się przypatrywał jego misternéj robocie, lecz szukając żywiołu dla swéj niecierpliwości.

O kilka lat jest starszy od Adolfa Jouani; nie ma żadnego pomiędzy nimi podobieństwa, gdyż ten co czeka jest brunet i blady, ten który przyjeżdża blondyn i rumiany. Pierwszy z założonemi na krzyż rękoma zdaje się być zanurzonym w smutnych myślach, oczy zapadłe z przyczyny choroby lub zgryzoty, ma zwrócone w stronę z któréj ma przybyć przedmiot jego oczekiwania, drugi przeciwnie pełen siły i życia, ma uśmiech w ustach, a wesołość na całéj maluje się twarzy, im daléj postępuje w miasto, tem bardziej jego wzrok się raduje, tém więcéj jest niespokojnym, aby wszystko zobaczył.

Obadwa są piękni, ale co za sprzeczność w ich pięknościi! oblicze Adolfa mogłoby posłużyć za wzór do wyobrażenia siły i młodości; tamten zaś jest bladym wizerunkiem męczennika którego oczy zdają się błagać nieba o cokolwiek siły, ażeby mógł jeszcze dłużéj cierpiéć.

Nieznajomy odszedł od filaru który mu służył za podporę, a zszedłszy ze schodów, przebył powoli ulicę Terreaux, potém jeszcze wolniej plac przyległy, i nie zatrzymał się aż gdy spostrzegł posłańca konnego który wyjeżdżając z ulicy karmelitańskiéj zbliżał się ku niemu galopom; zabłysła radość w oczach młodzieńca, bieży naprzeciw służącemu i zapytuje z pospiechem. Gdzież oni są?....Przy rogatce mostu Vaize. To dobrze! wracaj do domu. Dawszy ten rozkaz, nieznajomy idzie prędzéj i przybywa na kilka minut pierwéj od dyliżansu.

Za przybyciem publicznego powozu wszystko jest w zamieszaniu, żandarmy i celnicy, konduktor, i posługacze oberży, krzyczą razem, podróżni znużeni, zagrzebani pomiędzy swemi rzeczami, które przechodzą z rąk celników w dwadzieścia rąk tragarzy chcacych je odnosić.

W tym odmęcie kończą się ścisłe znajomości porobione w podróży, zapomina się o poufnych zwierzeniach i o tajemnicach powierzonych, przyjaciel kilkodniowy ustępuje miejsca dawnemu który cię od długiego czasu oczekiwał' Niecierpliwym się jest porzucić tych których się obiecało odwiedzić.

Dwaj ludzie zdają się być odosobnieni w téj liczbie, jeden zsiadając ze szczytu powozu, nie znalazł nikogo ktoby go przyjął z otwartemi rękoma, a drugi jest niezonnym wszystkim tym których oczekiwał z taką niecierpliwością. Pierwsy zatrudnia się zgromadzeniem swych rzeczy, drugi usadowił się jak najbliżéj biura słucha nazwisk które konduktor czyta z listy, bada niespokojnym wzrokiem twarze cisnących się do kraty, kilka razy jego oczy zatrzymały się na Adolfie Jouani z widoczną ciekawością, to wrażenie stało się żywszém posłyszawszy imie Jouani, jakieś uczucie przyciągające kazało mu się pomimowolnie zbliżyć do młodego malarza, opłacającego z pośpiechem swoje miejsce. Jest coś magnetycznego w tem spojrzenie, nie można powiedzieć czy wyraża smutek

lub radość. Obcy postępuje krok w krok za Adolfem, słyszy że mówi do niosącego jego rzeczy, prowadź mnie gdzie chcesz. Wachanie się tragarza nie było długiem; głos tajemniczy rzekł mu do ucha: do domu zajezdnego w parku. Natychmiast staje się posłusznym, czując że mu wsunięto w rękę zapłatę jego milczenia i uległości.



Dom zajezdny w parku.

II.

Znajduje się klassa ludzi zachowująca swoje pierwotne piętno, których ani moda, ani zwyczaje i etykieta nie zdołały nagiąć ciężarem swych wymagań. Towarzystwo które wszystko przewraca i mięsza tak jak złoto z ołowiem, które naznacza człowieka tytułem częstokroć

wcale dla niego obcym, nie mogło nigdy zmienić artysty i pomieszać go z modnisiem; jeden twardy jak djament, drugi miękki, zdolny do przyjęcia każdego wycisku za najmniejszém dotknięciem; tamten sam w sobie, a ten powierzchowny, zbliżają się i oddalają nie nabrawszy jeden od drugiego żadnego odcienia... Jenjusz pierwszego jest siłą odporną która go zabezpiecza od wpływu drugiego.

Zawsze otwarty w swem postępowaniu, człowiek dowcipu artystycznego jest sprzecznością z człowiekiem światowym, nie popisuje on się ani ze swemi wadami ani też przymiotami, nie umie pokryć ani swego zadziwienia ani pogardy; oddaje pokłon zasłudze nie zważając na stan tymczasowy w którym ją znajduje; obraca się plecami do głupstwa chociażby wysoko było umieszczone.

Nie zważając na stopień na jakim go jego prace postawiły, bez względu na tytuły z których się może chełpić, artysta zachowuje zawsze swoją szczerą mowę, ten sposób postę-

powania jakby od niechcenia który pochodzi ze ścisłego ocenienia swojéj wartości. W wieczór jest tém samém w salonach, czém był z rana w swojéj pracowni, pośród swych uczniow.

Nigdy on nie należy do otaczających; jest zawsze środkiem około którego krążą świetne nicości; nie będzie nigdy ścigał ucinkami szyderczemi człowieka skromnego, który wiele słucha a mało mówi, przyczepia się do ludzi dzienną sławę posiadających i niemiłosiernie ich wyśmiewa, kobiety najpiękniejsze drżą przed nim, nie idzie im o ich cnotę, ale o niedoskonałości które odkrywa pod ich strojem: nie ma nic skrytego przed jego orlim wzrokiem.

Żądający powszechnéj sławy, słynny artysta ma swoją kolebkę, ale nie ma ojczyzny, jest bowiem obywatelem całego świata, sieje kwiaty swojego wieńca wszędzie gdzie cywilizacja czci talenta. Włochy, ziemia obiecana dla pierwszego jego zwycięstwa, to obszerne muzeum gdzie są nagromadzone szczytne dzieła starożytności, nie jest mu już dostateczną... wszędzie go można poznać gdzie jaki mistrz zosta-

wił po sobie pamiątkę... Obchodzi się z panami ziemskiemi tak jak ty z równymi sobie... Mało dbając o majątek, dąży za swemi myślami do jednego tylko celu, nieśmiertelność swego imienia. Wie że wieki które potrafiły zwalić tyle imion wsławionych przez dziwactwa gminu, pobożnie szanują dzieła artysty którego poświęcają nazwisko, otaczają je promieniami wiecznéj chwały, która się zawsze powiększa, wie iż najmniejszemu okruchowi szczytnego dzieła oddają taką cześć która przeżyła wszystkie inne, wie że wiele tysięcy lat uczyniło jeszcze znamienitszém imie Phidjasza, chociaż posąg Boga który wzniósł, jako też i ludy mające się do niego modlić, w proch są obrócone.

Do téj klasy ludzi należy Adolf Jouani, syn malarza włoskiego, nadto włoskiego, nadto wcześnie zmarłego ażeby mu był mogł sławne zostawić imie. Adolf dał sobie słowo, w tajemnicy swych natchnień, że wsławi takowe. Wykształcenie od matki odebrane rozwinęło w nim szczęśliwe zarody których natura tylu innym odmawia. Adolf nie miał lat dzie-

cinnych, ołówki i pędzle były jego ulubionemi cacкami... odgadł naturę nim zaczął ją zgłębiać..... Nie mając téj bojaźliwéj skromności która otrętwia władzę ucznia, mówił wpatrując się w każdy wzór który mu podawano: Muszę go naśladować i póty nad nim pracować póki nie uznam że jest dobry... Zdanie nauczyciela zawsze się zgadzało ze zdaniem ucznia.

Gdyby mu była sprawiedliwość oddaną, nasz młody malarz byłby już od dawna w Rzymie, ale areopag tego-czesnych Aten, nie zważając na przyszłość którą jenjusz Adolfa w sobie zawierał, przyznał nagrodę jednemu z tych którzy widzieli zbliżający się ostateczny kres zamykający im drogę do wsławienia się. Dzięki téj niesprawiedliwości, wspaniali sędziowie wynagrodzili niesłychane natężenia tych których natura dotąd nie obdarzyła jak tylko samą odwagą. Adolf Jouani pewny zwycięstwa ściskał swego współ zawodnika mówiąc: Bez urazy, zobaczymy się tam! w Rzymie.

Wesoły, dowcipny, kochany od swych współ uczniów, surowych obyczajów, gdyż jest je-

dnym przyjacielem jedném towarzyszem swéj matki, winien kolegom swobodny ton w obcowaniu, i winien matce godność spojrzenia i szlachetność w wyrażaniu się, Adolf, artysta z urodzenia, ale nadewszystko dobry syn, zachował w swéj duszy uczucia religijne które wychowanie i przykład głęboko w niéj wkorzeniły, nie pragnął uchodzić za wzór wpośród niedowierstwa nowéj szkoły, dla tego że jego wiara była mu za nadto drogą i że się obawiał wystawiać ją na walkę w któréjby mogła stać się słabszą.

Wysoki, dobrze zbudowany i silny, łączy do tych korzyści męztwo nieustraszone i moc duszy zdolną do zniesienia największego nieszczęścia i najdotkliwszéj zgryzoty. Wszystkie te przyczyny są zasłużoną nagrodą niewczasów, starań i pieczołowitości dobréj matki, która miłe zbiera owoce cnot zaszczepionych w sercu swego syna; w tych kilku słowach jest całe i zupełne życie kobiety, szczęśliwe i smutne wypadki téj powieści nadto się łączą z życiem Adolfa Jonani aby je można odłączyć. Pozna-

my je wszystkie kiedy do tego pora nadejdzie.

Większe poruszenie, jak pospolicie sprawuje przybycie zwyczajnego podróżnego, widzieć się daje przed domem zajezdnym w Parku. Służące, chłopcy, gospodarz i gospodyni, przyjmują i pozdrawiają z niezwycajną grzecznością nowego przybysza którego jednakże ani ubiór ani sposób obejścia się nie zapowiadają aby był jakim wielkim panem, gdyż jedną ręką trzyma skromnie swą czapeczkę ceratową dla oddania ukłonów których mu nie szczędzą a w drugiéj niesie swój tłómoczak, chociaż tragarz mu towarzyszący nie nazbyt zdaje się obładowany jego rzeczami.

Adolf przypisywał zwyczajom krajowym zbyteczną grzeczność któréj był celem. Gospodarze domów zajezdnych w Lyonie mają daleko więcéj uprzejmości a niżeli gdzieindziéj, mówił sobie; potem poszedł za gospodarzem, który sam osobiście poprowadził go do najbogatszych pokojów. — Biorą mnie za jakiego barona niemieckiego, albo za lorda, pomyślał sobie, przy-

patrując się bogatym sprzętom rozmaitych pokojów które przechodził. Wszystkie te honory, wszystkie te piękne meble muszą się bardzo drogo opłacać. Ta myśl rozsądna przyszła mu naturalnie wspomniawszy na swoje szczupłe mienie, przytłumiła dumę młodego człowieka który zatrzymał gospodarza mówiąc mu: Mały pokoik aby tylko był widnym lepiéjby mi się podobał.

— Otóż to właśnie co pan żądasz, odpowiedział jego uprzejmy przewodnik otwierając drzwi sypialnego pokoju.

Ta odpowiedź nadto zaspokoiła podróżnego aby co miał jeszcze dodać.

— Za chwilę przyszlę tu kogo dla dowiedzenia się co pan rozkażesz, powiedział gospodarz domu, a nizko się skłoniwszy wyszedł.

— Otóż jestem parem Francji albo ambasadorem, zawołał młody malarz, rzucając swą czapeczkę na kobierce a sam siadając na kanapie. Prześliczny dom! prawdziwy pałac wróżek!... pozostaje tylko dowiedzieć się co ko-

sztują dwa lub trzy dni tutaj pobytu? Sprobuję, to mnie nauczy na drugi raz nie dać się powodować dobréj woli tragarzów.

Nadąsawszy się trochę i utwierdziwszy w przedsiewzięciu do którego miłość własna była powodem, Adolf obejrzał miejscowość; co mu zdało si; najprzyjemniejszém to że znalazł w sali fortepian, na widok tego instrumentu pomyślał sobie o matce, gdyby ona tu była, nie wspomniałby że jest strudzony podróżą. Wymówił te kilka słów wiodąc palcem po klawiszach. Rzecz nader ważna jak na fortepian w domu zajezdném, ten był nastrojony i głośny; ta uwaga sprawiła że usiadł prawie pomimowolnie, probował go przez kilka minut ale przerwało mu pukanie kilka razy do drzwi.

— Wejść, odpowiedział wstając, a sługa w liberji ukazał się. — Czego żądasz? — Przychodzę dowiedzieć się co pan rozkaże, odpowiedział lokaj schylajnc się. Adolf bardzo zdziwiony rzekł: ja wcale nie mam nic do rozkazania, prosiłbym tylko aby mi przyniesiono herbaty. — Czy się pan chce ubierać? — Po

chwili ub orę się. Wtenczas panu posłużę.— Adolf ledwo się mógł wstrzymać od śmiechu: Dziękuję mój pr yjacielu, dziękuję, nikogo nie potrzebuję, potrafię się sam ubrać, nie potrzebuję ka merdynera. Bądź tylko tak dobry każ mi przynieść com żądał.

Lokaj wyszedł a Adolf nie mógł dłużéj powściągnąć śmiechu, prędko schronił się do swego pokoju, gdzie rozmyślając w jakim byłby kłopocie gdyby się dał ubierać obcemu służącemu, sam się ubrał i to prędko.

Dano mu znać że przyniesiono herbatę:...przeszedł do salonu gdzie na niego znowu oczekiwał lokaj w liberji...Zupełne śniadanie zastawiono na małym stoliku. Wszystko zapowiadało że nie będzie sam jeden przy stole. Dwa krzesła zbliżone były i jedzenie na dwie osoby. Jouani spojrzał z zadziwieniem na służącego i zapytał: dla kogóż to drugie miejsce?

—Będzie dla mnie.... jeśli to pana nie rozgniewa.

Młody malarz zwrócił się żywo ku temu który mu taką dał odpowiedź, był to ten sam ob-

cy któregośmy widzieliśmy czekającego na placu des Terreaux na przybycie dyliżansu. Wszedł był dopiero drzwiami na które Adolf nie zważał z początku, wychodzącemi do drugiéj izby sypialnéj.

Grzeczności jakie czyniono w przyjęciu go, a które dotąd zdawały mu się być zabiegami samego gospodarza, stały się teraz tajemnicą którą jeszcze bardziéj zawikłało ukazanie się nowéj osoby....Nie chcąc usiąść do stołu póki się nie dowie o przyczynie honorów które mu oddawano, i których jeszcze nie szczędzą, rzekł dosyć krótko do cudzoziemca.

— Mnieby raczéj przystało prosić o pozwolenie zajęcia jednego z tych miejsc, widzę bowiem że nie jestem w mojém mieszkaniu'

Mylisz się pan, odpowiedział zimno nieznajomy; ta sala jest wspólną... będąc w pośrodku apartamentu który zajmujemy obadwa dla czegożby nie miała należéć do dwóch lokatorów i dla czego w niéj nie mogliśmy śniadać razem?

Zawstydzony prostotą téj odpowiedzi i podejrzeniem które uderzyło jego umysł, Adolf

przebąknął przeproszenie, lecz cudzoziemiec przerwał zapraszając go do stołu, sam dając przykład.

Sniadanie odbywało się w milczeniu, kilka słów zaledwie wymówiono; nieznajomy jadł mało, ale jego wzrok nie przestawał baczyć aby nic nie brakowało Adolfowi, który przyszedłszy do siebie nie dał się prosić, zajadał smacznie a nakoniec ośmielił się zadać pytanie cudzoziemcowi.

— Czy już dawno pan mieszkasz w Lyonia?

— Od wczoraj dopiero.

— A ja dopiero com przybył...

— Wiem o tem!... gdyż widziałem pana wysiadającego z dyliżansu.

— Pan mnie widziałeś! czybyś mnie pan znał?

Nie; ale wszelako z mojego rozkazu tu się pan znajdujesz...

— Ja pana nie rozumiem!

Przecież nic ma nic prostrzego, nie chcąc mieszkać sam jeden w tym apartamencie nadto dla mnie obszernym, czekałem na przyby-

cie dyliżansu z Paryża, abym sobie dobrał towarzysza któryby mi był dogodnym, ujrzałem pana i poleciłem ażeby cię zaprowadzono do domu zajezdnego w Parku, sprowadziłem go tutaj, i jesteś ulokowany...

To dziwne postępowanie nie bardzo się zgadzało z postacią smutną i chorowitą nieznajomego. Adolf swém przenikliwém spojrzeniem zdawał się dostrzegać na jego zbladłych licach jakiś tajemniczy wyraz, co było przyczyną że się wachał przyjąć go od razu za towarzysza mieszkania. Podejrzliwość jest mocném uczuciem gdy kto się znajduje po raz pierwszy w pośród ludzi obcych, nie mogąc pomiędzy nimi znaleść ani krewnego ani przyjaciela.

— Mógłbyś pan lepszy uczynić wybór odrzekł.

— Zdajesz się pan być daleko ode mnie bogatszy, ja jestem malarzem i ubiegam się za szczęściem. Zdaje mi się że dosyć szczerze się panu wynurzam.

— Jesteś artystą, tem lepiéj! jesteś ubogim, to choroba z któréj się wyleczysz, ja jestem

bogatym i nie robić nie umiem... Jestem suchotnikiem, a zatem wkrótce muszę umierać... widzisz pan że masz nade mną wyższość...

Jakaż to boleść objawiała się w tych ostatnich wyrazach wyrzeczonych głuchym głosem! —Adolf Jouani w obliczu téj zawczesnéj starości, z oczami wlepionemi w tę twarz bladą młodego człowieka, czuł krążące życie w swych żyłach. Po raz pierwszy ocenił ile miał w sobie nadziei i przyszłości, serce bić mu mocniéj zaczęło—lecz zasmucił się zaraz gdyż uczuł litość nad tym, który mówił o swym zgonie, z poświęceniem się—chociaż łza napełniała oko.

— Teraz pan zapewnie pojmujesz co ci się mogło zdawać dziwném w mojém postępowaniu, rzekł nieznajomy; jest to dziwactwo chorego i to mnie skłoniło do wybrania sobie towarzysza losem szczęścia..... powiedziałeś że mogłem stosowniejszy uczynić wybór, nie jestem tego zdania; ze starym nie mógłbym się zgodzić, pragnąłem spotkać się z duszą pełną ognia dla rozgrzania mojéj, miałżebym podać rękę jakiemu modnisiowi? tém mniéj człowiekowi światowemu, sprzykrzył mi się ten rodzaj ludzi

do których przez tak długi czas należałem.— Szukasz natchnień,ja unikam nudów, wzbogacasz twoją pamięć i książkę rysunkową pamiątkami które twój pędzel może uniešmiertelnić, ja chciałbym zagładzić moje wspomnienia bo mnie jeszcze prędzéj o śmierć przyprawiają.

Zamilkł,i siedział przez kilka chwil wsparty na ręce. Adolf radby go pocieszać, lecz nie widział od czego zacząć. To położenie było dla niego przykrem, zwłaszcza w obliczu człowieka którego nawet nie znał nazwiska. Należało mu przyjąć albo odmówić tę prośbę,tak szczególną, aby się stał przez dni kilka, przyjacielem i pociechą jednemu nieznajomemu, którego przypadek przywiązał do jego kroków, będąc w oddaleniu od matki i od Paryża. Myśl że to być mógł jaki awanturnik, nie miała już przystępu do jego umysłu. Prawda, szpetna niekiedy, malowała się na twarzy obcego. Choroba zostawiła na niéj ślady których wyrazić niepodobna; jego oczy, błyszczące się czasem, otoczone były czarném kołem, krew przebijała się na wychudłych sterczących jagodach. Była to ostatnia barwa róży która więdnieje nim jeszcze jéj śro-

dek się rozwinął... Brakowało także powietrza piersiom, wznoszącym się i spadającym z ciężkością.

Nakoniec Adolf rzekł do niego: Dziękuję przypadkowi który zrządził żeś pan rzucił oczy na mnie. Przyjmuję z radością obowiązek który na mnie wkładasz, walczenia przeciw myślom jakich ludzie naszego wieku nigdyby mieć niepowini.

—A ja dziękuję ci za twoje dobre serce, panie Adolfie Jouani, odpowiedział nieznajomy, podając mu rękę.

— Wiesz pan moje nazwisko?

Alboż nie słyszałem gdy je wymieniono w biórze pocztowém? Masz prawo zapytać sie także o moje...Na świecie nazywają mię vice hrabią de Lerme...proszę nazywaj mię tylko Edwardem — ścisnął serdecznie Adolfa za rękę.

— Pamiętaj także, dodał, w czasie krótkich chwil których mi udzielisz, ażebyś się nie martwił mojém cierpiącém obliczem. Pokazałeś mi się od pierwszego rzutu oka, szczęśliwym i wesołym jak artysta...bądźże zawsze takim dla

mnie. Gdybyś wiedział co jabym dał za to ażebym mógł choć raz się roześmiać, raz tylko jeden, chociażbym się miał potem udusić....Musisz umieć zabawne powieści, jakich nie mało zcpewne nasłuchałeś się pomiędzy twymi towarzyszami, nie prawdaż że mi ich udzielisz?

Adolf chciał się uśmiechnąć patrząc na vicehrabiego, który był jeszcze bledszym wyrażając tę prożbę. Rękę położył na swem sercu jak gdyby chciał wstrzymać jego poruszenia uadto bolesne...Młody malarz obiecał wszystko o co go prosił Edward de Lerme. Wstali od stołu a wzrok vice-hrabiego padł na fortepjan który był otwarty.

Pan grasz dość dobrze, słyszałam jakeś sobie przegrywał i żsłowałem że ci przerwano Dawniéj i ja byłem w tem wprawny ale teraz palce mi drżą i mam nerwy nadto drażliwe.... Franciszku! rzekł do służącego...będziesz dwom panom usługiwał...i masz być posłusznym panu Jouani tak jak mnie samemu....Lokaj się skłonił.

Adolf miał się już wymówić, kiedy Edward

dodał: okulbaczysz dwa konie za godzinę, obracając się potém do Adolfa, potrzebujesz tego czasu abyś trochę spoczął, pojedziemy razem zwiedzić miasto.

Następnie pozdrowił pana Jouani i wrócił do swego pokoju.



Folwark na kępie de la Camargne

III.

Ściśniona kępa de la Camargne dwoma korytami Rodanu, w części zalana ze stawu Valeares, walczy o owoce swego rolniczego przemysłu, z wylewami upartéj rzeki, i o zabieranie jéj gruntów przez wodę podmywającą jéj wnętrze. Pomimo śmiertelnych wpływów

zaraźliwego powietrza, pochodzących z bagnisk solnych, pomimo ogromnéj części ziemi dotąd nieuprawnéj, kępa ta jest szpichlerzem starożytnéj stolicy Gaulów, dawnego miasta Arles, spór niegdyś wiodącego z Marsylją.

W miejscu gdzie rzeka dzieli się na dwa koryta, leży Trinquetaille najznaczniejsza osada téj kępy, służy ona za przedmieście miastu Arles a Rodan je od niego oddziela.

Jakiś człowiek na młodym i rączym koniu przejeżdża przez most drewniany i dosięga wielkiéj ulicy przedmieścia zupełnie pustéj w téj chwili, gdyż południowe słońce dawno nie było tak gorącém... Powiedziałbyś że tak dla jezdca jako i konia ten duszący upał przed którym mieszkańcy kryć się usiłują, zdaje się być przyjemny, i jak gdyby obaj byli urodzeni w klimacie jeszcze bardziéj południowym.

Jeździec mieć może lat pięćdziesiąt, twarz od słońca ogorzała, oczy żywe i małe, na głowie kapelusz szeroki szary na sposób włoski, z pod którego spadają gęste czarne kędzierowate włosy. Mimo swego wieku zdaje się być żwawy i silny. Chociaż zamyślony o czém innném, wpra-

wną ręką wstrzymuje co chwila ustawiczne pląsy swego bieguna. Z drzenia ust i przerywanego tchu odgadnąć można że nuci cichym głosem farandolę, (*) widać jednakże po jego oczach że myśli o ważniejszych rzeczach niż o gminnym tańcu.

Podróżny bardziéj zanurzywszy się w myślach zapomniał o cuglach, koń jego nie czując więcéj wędzidła puścił się galopem, ale żelazna ręka wstrzymuje ten popęd i głaszcze pieszczotliwą dłonią kark zwierzęcia rżącego z niecierpliwości.

— Zaczynasz oddychać powietrzem rodzinném, mój poczciwy Eoli... czujesz tłuste pastwiska które cię wykarmiły, i gdzie byłeś tyle szczęśliwym biegając swobodnie; krew saraceńska wre w twych żyłach, tym lepiéj, nie odrodziłeś się od twoich przodków. (*)

(*) Nazwisko gminnego tańcu w Prowancji.

(*) Jest pospolitem mniemaniem ze konie z kępy Camargne są plemienia arabskiego, i że mają pochodzić od tych ktore niegdyś sprowadzili Saraceni do Longo.

Wymówiwszy te słowa w języku włoskim, jeździec znowu się oddał swoim marzeniom, i te go nie odstąpiły aż przed wrotami pewnego folwarku... już od kwandransa za sobą zostawił miasteczko Trinquetaille.

Co do rozległośc i należących do niego gruntów, folwark do którego przybył cudzoziemiec jest bardzo znaczny, a dla pięknego zabudowania może uchodzić za najbogatszy w okolicach miasta Arles, winne latorośle, które na sposób włoski okrywają cały front głównego budynku, służą mu za gęstą zasłonę od promieni słońca, stodoły i obory obszerne, tworzą czworobok podwórza wpośród którego na sadzawce daje się widzieć mnóstwo drobiu domowego. Wszelkie narzędzia rolnicze są porozrzucane, sterty zboża z teraźniejszego żniwa przewyższają dachy stodół; kiedy niekiedy chmara gołębi wznosi się w powietrze, a szelest ich lotu miesza się z kwokaniem drobiu, beczeniem kóz i owiec karmiących swe dzieci, które

dla tego tylko nie poszły z całą trzodą w góry.

Jeździec zsiada z konia przed domem i rzuca cugle parobkowi który naprzeciw niego wyszedł.

— Strzeż się aby nie uciekł, bo nim zrobisz trzy kroki to koń już będzie na bagnach Valeares.

Zrobił tę uwagę w języku krajowym aby go łatwiéj zrozumiano, wszedł potém do obszernej izby zdejmując swój wielki kapelusz i obcierając pot który oblewał jego czoło...z odkrytą głową ma postać dzikiéj dumy która się bardzo sprzeczną wydaje z wyszukanem ubraniem.

—Czy pani Marcelle spoczywa? zapytał służącéj któréj oczy przyćmione i na pół otwarte dawały poznać że drzymała...Nie, panie Galiani, odpowiedziała wstając z wielkiego skórzanego krzesła, moja pani jest w swoim pokoju z córką...

Nie czekając zaproszenia, udał się ku drzwiom prowadzącym do pokoju właścicielki, gdy go

głos służącéj zatrzymał... Przepraszam pana Galiani...czybyś nie mógł być tak łaskaw odwiedzić tego biednego Marcina który dostał czarnéj febry kosząc na bagnach Stéj Cecylji, byłby to ze strony pańskiéj miłosierny uczynek. Pójdę, odpowiedział lekarz włoski, i wyszedł.

W pokoju, gdzie się rozlewa na wszystkie strony zapach kwiatów porozstawianych po oknach, znajduje się parę osób których widok mógłby posłużyć za wzór jakeimu jenjalnemu malarzowi. Cecylja powraca z przechadzki; p Marcelle zdejmuje jéj duży kapelusz słomiany czarny, z nizkiém denkiem, chroniący ją od promieni słonecznych; potem siada na ławeczce prawie u nóg swéj matki, która obciera jéj rumiane lica z potu, duże oczy młodéj dziewczyny mile wpatrują się w podeszłą kobietę a téj czułe spojrzenie odpowiada oczom Cecylji. Właścicielka folwarku może mieć lat sześdziesiąt... a jéj córka zaledwie siedemnaście, pierwsza dzięki otyłości nie jest jeszcze starą, a druga błyszczy całą pięknością stron południowych; włosy ma ciemne i gładkie, oczy czarne pokry-

te długiemi rzęsami, nos mierny a usta małe, kibić jest hoża, szczupła, ale kształtna, twarz koloru różowego a razem i ogorzała, głos miły i dźwięczny. Cesia jest najpiękniejszą z kobiét całego obwodu a nawet i miasta Arles. uprzywilejowanego co do piękności kobiét.

—Skądże przychodzisz ty mała warjatko pod czas takiego upału? zapytała pani Marcelle całując swą córkę w czoło.

—Nie łaj mnie, kochana mamo, mogęż ja jeden dzień przetrzymać, abym nie była w zamku? ta luba panna dziś jest bardzo chora.

—Biédna dziewczyna, taka młoda, taka szczęśliwa a tak blizka śmierci!.

—Czy doprawdy mamo rozumiesz że umrze z téj choroby?

—Szm tylko Bóg to wie, Cesiu; ale mało jest nadziei ma suchoty...

—Suchoty! czy to choroba bardziéj niebezpieczna jak febra z wyziewów bagnistych pochodząca?

– Tysiąc razy gorsza, jak mi mówił pan Galiani.

—Płaczesz kochana matko!...Może się też pan Galiani myli?

—Nie mówmy o tem więcéj, oprzéj twą głowę na mych kolanach i zaśnij, to cię pokrzepi.

—Dobrze mamo.

Ale kilkokrotne zapukanie do drzwi podniosło głowę młodéj dziewczyny, która się już schyliła, aby usłuchać matki. Lekarz włoski wchodzi do pokoju, z miną swobodną, i powitawszy bardziéj dumnie niż po przyjacielsku, zabiera miejsce na krześle obok gospodyni.

— Jakże idą żniwa p. Marcelle?

— Daleko lepiéj niż się spodziewałam.

— Jakże zdrowie?

— Bodajby młodzi byli tak zdrowemi jak starzy...

— Przynajmniéj to życzenie pani nie potrzebne jéj córce: jest to róża bagdadzka...

— Moje myśli sięgają tamtéj strony Rodanu...

— Rozumiem, mówisz pani o zamku hrabiny;

biedna kobieta, nadchodzi bardzo smutna chwila dla niéj...

— Jakże, czy nie ma już żadnéj nadziei?

—Już od dawna straciłem ją zupełnie i przewidziałem to nieszczęście.

— Ah wielki Boże! co to za klęska taka choroba w familji!...

— Oh! zapewne, jest to dziedzictwo którego się pozbyć nie można... Gdyby tylko nieszczęście którego koniec bardzo jest blizki nie powtórzyło się wkrótce jeszcze okropniéj, pozostałaby przynajmniéj jakaś pociecha dla hrabiny.. ale!...

— Jakto! czy sądzisz że i pan Edward?

—Alboż już pani nie powiedziałem?

— Ach! to jest rzecz straszna pomyśléć o tem, nieszczęsna matka!... tym sposobem straci swe dzieci!... to być nie może...

— Radbym się pomylić, pani Marcelle.

—Czy nie ma żadnego sposobu pokonania téj choroby?

—Hrabia de Lerme konając na mojém ręku pozostawił swym dzieciom tę zarazę dziedzi-

czną, sam on wyrzekł. O jak smutne dziedzictwo im pozostawiam!

Długie milczenie nastąpiło po tych słowach lekarza, matka i corka płaczą, a doktór bawi się swoją złotą tabakierką. Ze spuszczonemi oczyma oddał się tym samym myślom które go w drodze zajmowały... Chciałbym pani kilka słów powiedzieć, ale tylko jej saméj, poszepnął do ucha gospodyni domu... Cecylja na znak dany od matki wyszła... Galiani wolniéj oddycha, a widząc ją wychodzącą przysuwa swe krzesło bliżéj do pani tego folwarku.

— Podróż vice hrabiego ma pobudkę tajemną a zapewne jest pani wiadomą?...

—Któż to panu o tem powiedział?

— Nie idzie tu o to żebyś mnie pani badała, ja się jéj pytam, odpowiedz mi (to wymówił tonem nakazującym.)

— Przypuściwszy nawet że pan Edward powierzył mi cel swéj podróży, jabym go panu Galiani nie wyjawiła.

— Dla czego?

— Gdyżby to był zły postępek z méj strony.

— Gdybym, w imieniu matki jego rozkazał?

— Chociażby nawet i sama hrabina zapytała mnie o to, nie otrzymałaby innéj odpowiedzi; ale zatrudniamy się samemi tylko domysłami... Ja bynajmniéj nie wiem czy podróż vice-hrabiego ma jaki cel tajemny...

— Ja temu nie wierzę, nie wierzę! czy rozumiesz mnie? przed wyjazdem bywał tutaj ze dwadzieścia razy, mówią nawet i wiem to z pewnego źródła że do pani pisał. Czy i tego się zaprzesz? (Lekarz wymawiając te słowa z gniewem prechadzał się po pokoju.)

— Ale, mój panie, dziwném mi się bardzo zdaje to wypytywanie którego sobie pozwalasz; w jakimże celu tak działasz? wytłomacz się albo będę cię prosiła ażebyś...

— Wyszedł, nie prawdaż? To chcesz mówić. Kiedy tak to uzbrojony władą jaką na mnie wkłada odpowiedzialność na mnie ciążąca, wzywam panią ażebyś mi odpowiedziała.

— O jakiéj władzy, o jakiéj odpowiedzialności mówisz?

— Eh! pani Marcelle, domyślam się że jakaś myśl szalona przyszła vice-hrabiemu do głowy, może się chce poradzić jakiego szarlata... na francuzkiego,

—Aha! to to pana tak dręczy?

Przenikliwe spojrzenie sędziwéj niewiasty sprawiło że lekarz spuścił oczy.

— Jeżeli w istocie miał tę myśl, ja nie znajduję ją tak szaloną, wolno jest w rozpaczy chwytać się choćby najmniejszéj nadziei...wszyscy ludzie zmylić się mogą... Pan Galiani możesz się tak pomylić jak każdy inny, a podług mojego zdania sama odpowiedzialność na nim ciążąca powinnaby domagać się zwołania biegłych lekarzy, którego przeciwnie zdajesz się lękać...

— Któż to pani powiedział że ja go się obawiam? ja się mam obawiać zdania drugich?

Galiani spojrzał na panią Marcelle, a wzrok jego rzucał płomienie. Potem uspakajając się nagle usiadł i mówił uśmiechając się.

— Jesteś tak uparta żebyś nie ustąpiła ani Bogu, ani jego świętym. Nie mogąc się prawdy od pani dowiedzić, wyjawię ją sam...

Już tu nie idzie o współzawodnictwo dla mnie... ale o odkrycie które vice-hrabia mógł zrobić w Paryżu...

—Nie rozumiem pana.

—Czyś mu się czego nie zwierzyła względem siostry hrabiny?

—Tém mniéj jeszcze pana rozumiem...

—Cóż u diabła...czy ta stara kobieta jest głucha! szalona!...albo zaczarowana!...

—Ani jedno ani drugie, panie Galiani, rzekła p. Marcelle powstając z powagą. Dnia jutrzejszego rano pójdę odpowiedzieć na wszystkie zapytania, któreś mi dotąd uczynił, lecz nie panu ale hrabinie.

—Ach! i cóż powiesz hrabinie?

—Prawdę, jeżeli osądzę że potrzeba abym ją objawiła.

—A więc wiesz prawdę?

—Może...

—Dobrze więc, pani Marcelle to jest pierścień wartujący dwieście ludwików, sakiewki które zawierają jeszcze daleko więcéj, zdaje się że to warto ażebyś mnie—mnie samemu wyjawiła tę prawdę, czy mnie rozumiesz?

— Panie Galiani, mam dwieście sztuk stadniny, która pląsa po łąkach walearskich, dziesięć trzód owiec pasących się na alpach, sto stert zboża jak te co widzisz z tego okna, ten dom który wart jakiego bądź zamku, a do tego sławę poczciwości którą więcéj jeszcze cenię, nie dałabym jednak ani jednego jagnięcia, jednego kłosa zboża, dla dowiedzenia się o tajnikach innych osób. I ty nie zakupisz moich!

Poczem pani Marcelle daje znak rozkazujący doktorowi, który wychodzi piorunując głuchém przekleństwem; za chwilkę potém słychać galop Eolego po kamienistéj drodze prowadzącéj do folwarku; p. Marcelle w oknie widzi odjeżdżającego Włocha. Uśmiechając się szyderczo, mówi cicho słów kilka, ktore tak by można wytłómaczyć:

O niczem się nie dowie póki czas nie nadejdzie. Musi on mieć bardzo ważne pobudki kiedy tak hojnie chce opłacić dowiedzenie się tajemnicy... Oh! jeżeli szlachetny młodzieniec zdoła zjiścić swoje zamiary, ileż to dumnych i nieużytecznych przebiegów zawiedzionych.

Potém odchodząc od okna, bierze zawieszony na ścianie kalendarz którego się uważnie radzi. „Dziś ośmnasty, rzecze, za ośm dni będzie może wiele odmian w zamku . . . i na folwarku także.“

Dostawszy z szuflady małą szk. tułkę, siada znowu, rozwija papier z niéj wyjęty, i rozkłada znaczną paczkę listów których ostatnia data od kilku miesięcy, a nąjdawniejsza więcéj od lat dwudziestu. Uśmiecha się i płacze na przemian odbywając to tajemnicze czytanie; potem jéj znużone oc'y to się zamykają to na pół otwierają i znowu zamykają, nakoniec zasypia głęboko.

Nim się na chwilę oddalimy z folwarku, trzeba wspomnieć o jednym małym pokoju, bardzo samotnym, oddalonym i nie zamieszkałym, znajduje on się na wyższem piętrze nad izbą pani Marcelle. Ten pokój ma ściany wyłożone całe drzewem, deski sosnowe pokryte są malowidłami rozmaitemi...Są to rysy krajobrazow zrobionych biegłą ręką, niektóre z nich ujśćby mogły za wyborne obrazy, widok miasta Arles, wzięty z małego okienka téj izdebki celuje nad

wszystko odbiciem się światła i perspektywą...

Widok wystawiający zamek i ogromny zwierzyniec, na brzegach Rodanu, walczy o pierwszeństwo z tamtym, przez sposób wykonania. Kilka grup osób są rozrucone tu i owdzie jakby na kartach imionnika. Portret młodéj dziewczyny z dziesięć razy jest powtórzonym, tu uwieńczona kwiatami, tam w stroju włościanek daléj czoło otoczone przepaską; obok z rozpuszczonemi włosami jak Najada, ale zawsze piękna, pomimo różnych wyrażeń jakie jéj nadał artysta.

Nad kominkiem jest okrągły portret wystawiający młodego człowieka w niedbałym ubiorze artysty, jest to arcydzieło z tych wszystkich malowideł, które ozdabiają tę małą izdebkę nazywaną przez panią Marcelle swojém muzeum...

Zdaje się że ten portret ma jakąś moc przyciągającą, gdyż zawsze sciąga na siebie wzrok gospodyni... Ale nadewszystko Cesia przypatruje mu się z największą uwagą, dziesięć razy w tygodniu przychodzi potajemnie do muzeum

domowégo, aby stanąć przed portretem i tam przepędzać całe godziny. W istocie jeżeli to malowanie nie jest zrobioném z wyobraźni, albo pochlebioném przez malarza, jest bardzo wstaj nie uwięzić wzrok młodéj dziewczyny... Może też Cecylja zna tego który służył za wzór? nie! ona go nigdy nie widziała i nie wie nawet kto przysłał ten medaljon jéj matce, zaledwie jest rok kiedy został w tém miejscu zawieszony. Co do innych obrazów, znajdowały się one tam jeszcze przed urodzeniem Cecylji.

Gdzież przepędzić chwile, kiedy się z matką nie bawi? Młoda panienka nie znalazła nic lepszego do czynienia gdy ją matka z pokoju wyprawiła, jak iść na górę do małego pokoiku; to prawda że już dawno tam nie była. Od dnia wczorajszego!

Bądź że rozrzewnienie którego doznała w zamku i przy swéj matce, uczyniło ją tkliwszą, portret który już tysiąc razy widziała zdawał jéj się piękniejszym i wyrazistszym, czuje jakąś rozkosz, jakieś uczucie do niewytłomaczenia; bardziéj mu się przypatrując jak kiedykolwiek,

pozwala sobie zjdąć go nawet, czego jeszcze dotąd nie uczyniła.

Ale pozbawiony najprzyjaźniejszego światła, zaćmiony że tak powiem blaskiem słońca które się odbija o wernix, portret tak ubóstwiany gaśnie przed pomieszanym wzrokiem Cecylji, szukającéj wszelkich sposobów aby się znowu w swém świetle okazał, zarumieniona ze wstydu i kłopotu zawiesza medaljon na dawném miejscu, przyrzekając sobie iż na drugi raz nie sięgnie niebaczną ręką...

Uśmiechnęła się do obrazu który dawny blask odzyskał, wspina się na palcach ażeby mu się lepiéj z blizka przypatrzyć, ale czy przez stracenie równowagi, czy też przez zamyślenie, jéj usta dotknęły się portretu ktyry został zaraz zaćmiony jéj oddechem, osłona wstydu spadła także na oblicze młodéj dziewczyny, która ucieka jak gdyby popełniła jaki naganny występek.

Szczęśliwy malarz którego umiejętna ręka może sprawić tyle zamieszania w sercu kobiety... ale nieszczęście dla wzoru jeśli nie jest podobnym do swego obrazu i jeśli się pokaże o-

czom nie tak doskonałym jak go uwielbiały przed zobaczeniem.

Co się częstokroć zdarza w małżeństwach przez pełnomocnictwo...“

Kaplica Boga-Rodzicy w Fourriers.

IV.

Adolf długo rozmyślając nad szczególną znajomością którą zrobił, na tem stanął, że jakiś cudzoziemiec pozwolił sobie nim rozrządzać z pewną zuchwałością któréj nie śmiał nazwać. Właśnie w téj chwili w którejby potrzebował zupełnéj swobody, wątpi czy mu będzie

wolno pójść za góry i skały które nad Lyonem panują? czy będzie mógł przebiegać bogate doliny które wzrok jego zoczył przybywając do miasta? Obawa niewoli każe mu żałować grzecznéj obietnicy którą zrobił Edwardowi de Lerme, obietnicy spowodowanéj przez litość a któréj i teraz nie miał odwagi odmówić.

Spoczywając na kana pie, z marzeń przeszedł do snu głębokiego który trwał więcéj jak trzy godziny, jego wyobrażenia i serce mało miały udziału w tym odpoczynku, którego sześćdziesiąt i kilka godzin znużenia tak bardzo potrzebowały; wszystkie jego władze, jego zmysły, niespokojnie odbijały rozmaite wrażenia i powtarzały wpośród snu pomieszanego wszystkie wypadki które mu się zdarzyły w podróży, miasta, wioski uciekały przed jego oczyma, przekléstwa, świstanie, klaskania z harapa postyljonów brzmiały w uszach, iskry się sypały pod nogami koni, potem głos jakiś,głos kobiety obok niego siedzącéj na ławce konduktora, w pośród bardzo ciemnéj nocy, pośród burzy, był to głos jego matki! ona z nim po-

dróż odprawiała... jéj głos słyszał pomimo hałasu toczącego się powozu — Ona mówiła do niego, ty śpisz Adolfie? Słyszał i wszelkiemi siłami chciał głowę podnieść ażeby wyjść z tego odrętwienia przeszkadzającego mu ucałować na wzajem swoją drogą matkę — To sen, jąkał przewracając się na kanapie i wpadł znowu w nowe marzenia o swojéj matce: zdawało mu się że jest przy niéj, słyszy dzwięk metaliczny stron fortepianu, że wygrywa farandollę, którą dawniéj koił jego płacz dziecinny, a późniéj opowiadając wyrazíste tańce południowych mieszkańców. Na brzmienie téj muzyki która mu jest od kolebki znaną, widzi rozwijające się wieńce taneczników ...Przebudza się nakoniec, i melodja nie ustaje a złudzenie Adolfa nie ustępuje chociaż ma oczy zupełnie otwarte; mówi nawet podnosząc głowę: ona być musi z suchotnikiem. Władza wyrażenia się, wraca mu wnet myśli: porywa się nagle i przysłuchuje dzwiękowi fortepianu który stał się wyraźniejszym i dobitniéjszym.

Pędzi, drżąc z radości i zadziwienia do drzwi swego pokoju które nagle otwiera. Ale zatrzy-

muje się zawstydzony, i zupełnie obudzony na widok Edwarda de Lerme, ktory przestaje grać, i obraca się do wchodzącego, mówiąc:

—Zapewne przerwałem twój spoczynek? proszę nie miéj mi to za złe! już bardzo dawno tyle z sobą nie dokazałem, panu winienem to przypomnienie muzykalne, nie prawdaż że jest dobrą wróżbą?...chodź, usiądź przy mnie, bo chcę korzystać z téj sposobnosci która się może nie zaraz wydarzy...

I ręka Edwarda spada na klawisze, Adolf zatrzymuje go i mówi:

—Gdzież się pan nauczyłeś tego tańca który grałeś dopiero?..

—Farandoli?...jeszcze będąc w kolebce słyszałem ją!

—Znam jéj kompozytora.

—Pan znasz tego co ją napisał?

—Tak jest! ten taniec jest skomponowany przez moją matkę.

—Pańska więc matka jest rodem z Arles?

—Nie zdaje mi się!

—Czy nic nie wiesz o miejscu jéj urodzenia?

—Nigdy mi nie przyszło o to jéj się zapytać.

—Trzeba mieć duszę gorejącą moich współrodaczek ażeby napisać podobną farandollę...niezawodnie jego matka jest rodem z Arles, a najlepszy dowód który mi dać możesz byłby gdybyś mi powiedział że pańska matka grała ci ją z tysiąg razy, a zawsze z tąż samą rozkoszą, jakżeż nie prawda?

—Na to się zgadzam!... odpowiedział Adolf patrząc z zadziwieniem na Edwarda de Lerme.

—Krew wychodźców nie ostyga pod mglistem niebem Paryża...piosnka rodzinna i serce jest zawsze tak gorącém jak niebo południowe.... Kiedy tak, błogosławię temu trafowi który mi dał się spotkać z synem jednéj z moich współrodaczek.

—Nic nie jest mniéj dowiedzionem, rzekł Adolf z uśmiechem.

—Nie chciéjże mnie pierwszego złudzenia pozbawiać.

—O bynajmniéj! owszem to pan sam mi sprawiłeś to słodkie omamienie....obudziłem się ro-

zamiejąc, że moja matka znajduje się w salonie.

— Czemuż tak nie było w istocie! przemówił z cicha vice-hrabia wstając od fortepianu.

Te kilka słów rozmowy między nimi zmięszały umysł Adolfa Jouani, a ostatnie wyrazy wyrzeczone przez Edwarda dalekie były od uspokojenia go; powodowany nagłem natchnieniem, stawa przed Edwardem jak gdyby chciał go zatrzymać i rzecze wzruszonym głosem:

—Trudno bardzo mi uwierzyć przypadkowi naszego spotkania...każde słowo które pan do mnie mówisz jest dla mnie tajemnicą — wybór jaki zrobiłeś, grając farondollę, która, rozumiałem że nie jest znaną nikomu tylko mnie i mojéj matce, żal któryś dopiero okazał że jéj tu nie ma, wszystko mnie przekonywa że pana postępowanie ma zamiar którego jestem celem

Tak znienacka zagadniony Edward de Lerme, jakiś czas nic nie odpowiadał Adolfowi, wpa-

trującemu się w niego niespokojnie, potem uśmiechnął się i rzekł:— Otóż to właśnie to... ułóżmy między nami dwoma małą intrygę któréj będziesz bohaterem! Prosiłem cię o kilka wesołych powiastek; pojmuję twój zamiar; mała komedyjka przez nas dwóch wystawiona będzie daleko zabawniejszą.

Wyraz dobroduszny z jakim Edward uczynił tę odpowiedź, okrył rumieńcem czoło młodego malarza, który nadto rozsądny aby okazał swe pomieszanie, nic lepszego nie znajduje jak śmiać się z tego żartu. Dodaje nawet: Rozwiązanie intrygi może będzie trudném do znalezienia...

— Może! może... powtarza Edward z najzimniejszą krwią. Adolf przywiedziony do niecierpliwości wyrzekł dosyć wesoło aby ukrył swą niechęć. — A więc będziemy widzieć rozwiązanie!

Poszedł potem za Edwardem de Lerme.

Konie już od dość dawna czekały w dziedzińcu.

Dzięki Edwardowi który zdawał się od da-

wnego czasu znać Lyona, jako też dobrym koniom na których jechali obadwa, w przeciągu nie spełna dwoch godzin, Adolf mógł powziąść ogólne wyobrażenie o mieście pierwszém co do wielkości i bogactwa po Paryżu.

Przewodnik nie przestał obudzać jego zapału, dał mu poznać wszystkie zakręty tego labiryntu zaludnionego robotnikami, zwiedzili obwody przedmieść stojących jedne nad drugiemi i wznoszących się od Rodanu i Saony aż do szczytu Czerwonego krzyża i Fourrieres...

Opisania i opowiadania vice-hrabiego były ożywione i wymowne, zawsze do nich łączyła się jaka myśl wspaniała i dobroczynna, umiał oceniać wartość trudów i znoju pracowitéj klasy. Unosił się z pochwałami cnot i przymiotów najuboższéj i najliczniejszéj części ludności Lyońskiéj, a jeżeli wspomniał o jéj nałogach, przypisywał je możno-władztwu finansowemu.

Adolf słuchał z coraz bardziéj wzrastającą uwagą szlachetnego młodzieńca który gromił energi-

cznémi wyrazy nieludzkie zasady rządzące towarzystwem.

Już się dostali na wzgórza Fourcieres, przybywszy na płaszczyznę gdzie zbudowana w roku 1192 kaplica Boga-Rodzicy, tak słynna niegdyś licznemi cudami — zsiedli z koni, i weszli do świątyni, w tém samém miéjscu będącéj, gdzie było *Forum Vetus* dawnych Rzymian.

Edward de Lerme wyprzedził był Adolfa aby mu zostawił czas wolny do zadość-uczynienia pierwszemu uczuciu podróżującego, téj ciekawości tak naturalnéj którą wznieca wewnętrzna część téj kaplicy, wilgotne jéj ściany pokrywały wota różnego rodzaju, pożółkłe obrazy, blade i zwiędłe kwiaty. Edward ukląkł u stóp ołtarza gdzie się znajduje wizerunek Boga-Rodzicy, prawie zakrytej dziwacznym strojem, z gazy, kwiatów, i wstążek złożonym. Długo zanurzony zostawał w swych gorących modłach, z obróconemi oczyma ku obrazowi błogosławionemu, łzy spadły po jego licach.

Nie bardzo od niego oddalony Jouani błagał

także na klęczkach Przedwiecznego, aby raczył wysłuchać modły zanoszone przez suchotnika.

Stary kapłan przechodząc przez kaplicę zapytał vice-hrabiego... — Za kogo się modlisz mój synu.

Za moją siostrę, odpowiedział, oddając mu medaljon zawieszony na plecionce z włosów.

Adolf był do łez wzruszonym, wpatrując się w tego nieszczęśliwego który jednakże modlił się za kogo inuego nie za siebie.

Medaljon drzącą ręką sędziwego kapłana zawieszonym został na wizerunku cudownym, a on błogosławiąc przemówił: Niech się stanie wola twoja Panie! potem wyszedł.

Niech się stanie! dodali z cicha Edward i Adolf robiąc znak krzyża świętego....

Pozostali sami. Vice-hrabia siadając na ławce drewnianéj stojącéj pod ścianą, dał znak młodemu malarzowi aby usiadł przy nim i przemówił cichym głosem:

— Uczyniłem zadość ślubowi jednéj biednéj dziewczyny któréj już może więcéj nie zobaczę....

Suche swe oczy trzymał zwrócone na medaljon...

— Jest to portret mojej siostry, rzekł patrząc na Adolfa. Łzy stanęły w oczach malarza.

— Obiecywałeś sobie że się tą przejadzką zabawisz, a teraz płaczesz!.... Dziękuję — gdybyś wiedział ile ta oznaka litości jest mi przyjemną! Sciskał serdecznie rękę pana Jouani...

Tak jest, tak! jest to portret mojéj siostry, anioła którego Bóg do siebie powołuje. Rokak toczący jéj piersi stał się dla niéj szkodliwszy niż dla mnie. Może ją rokiem przeżyję.

Gdyby ktoś był ukryty w kącie kaplicy, rozumiałbym że vice-hrabia zwierza się czegoś nie tak okropnego, tyle rysy jego twarzy były spokojne, spozierając raz na portret drugi raz na Adolfa.

— I to w chwili gdy pan wzywasz łaski cudownéj Boga-Rodzicy, okazujesz tak mało nadziei?

Dreszcz przeszedł malarza czyniąc tę wymówkę suchotnikowi.

—Prawdę mówisz, myśl która nademną panuje staje się nawet mocniejszą nad samą wiarę, jakoż przyszedłem tu tylko dopełnić ślubu umierającéj; ale cóż chcesz? trzeba wierzyć że Bóg mieści w liczbie dóbr tego świata dolegliwości które dręczą znaczną część ludzi, błagać go ażeby wstrzymał plagę którą nawidził moją rodzinę, to byłoby prawie powiedzieć że się pomylił, jeżeli miarka naszego złego jest pełną, trzeba ażeby ją rozrzucił na drugich nam ją odejmując, bo musi bydź równą ażeby nie naruszyła systemu natury.... Oprócz tego czyś słyszał kiedy aby się można wyleczyć z téj choroby...zwłaszcza gdy ojciec z niéj umarł, kiedy jego dzieci o tem wiedzą, że odziedziczyli tę nieubłaganą niemoc?

Czy tylko myśl o niéj nie jest bardziéj nieubłaganą jak sama choroba—odpowiedział młody malarz wpatrując się w oczy choremu. Osłabienie wyobraźni czyż nie podwaja zniszczenia któremuby usiłowania sztuki mogły zapobiedz?....

To bydź może, ale nie masz sposobu przytłumienia téj nieszczęsnéj myśli, téj wiary mocniéjszéj od władzy umiejętności, tego niezmiennego wrażenia które odejmuje wszelką nadzieję.

To bardzo prawda! jest to myśl która zabija.

—Nie sądź pan jednakże abym się poddawał z słabością umysłu, już ja nie dopiero uczyniłem ofiarę z mojego życia i cierpię tylko wspomniawszy na moją matkę; widziała ona męża umierającego w mękach długiego konania. Dziś kiedy przeniosła swą miłość na dzieci, widzi umierającą córkę, i wkrótce zamknie powieki swemu synowi! nie jestże to konać nieustannie? umierać zwolna w najsroższych boleściach, których nic ukoić nie może jak tylko jedna śmierć; mieć małżonka który jest naszą sławą i szczęściem, i utracić go! mieć dzieci ukochane i widzieć je padające jedno po drugiem, a pozostać na ziemi aby łzy wylewać, chodząc od jednego do drugiego grobu!... Modliłem się za moją siostrę, ale ci się przyznam że z większą jeszcze żarliwością modliłem się za moją matkę.

Dozorca kaplicy dał słyszeć brzęk kluczów. Edward i Adolf wstali i spojrzeli po raz ostatni na medaljon; czuli obadwa potrzebę oddychać wolném powietrzem być na słońcu które rzucało promienie na wzgórze Fourvieres... Weszli na obserwatorjum. Smutek który opanował duszę młodego artysty opuścił go powoli na widok tego panorama zalanego światłem i kolorami które jego wzrok przebiegał z zadziwieniem podobném do zachwycenia.

Naokoło niego, niezmierność obłoków zamkniętą była, na wschód Alpami, od północy górą Cindre, na zachód pierwszemi ogniwami łańcucha gór Owernji, od południa wierzchołkami mgłą zakrytemi które są w sąsiedztwie miasta Bordeaux.

W tym nieprzejrzanym obrazie Adolf spostrzegł tysiąc zachwycających widoków które uchodzą przed wzrokiem pospolitego człowieka, a świetnieją poezją w oczach artysty: ściga z uwagą wszelkie zakręty Rodanu, téj wspaniałéj rzeki wypływającéj z Alpów, umysł od-

nosi go do owych czasów kiedy dzicy Gaulowie mieli tylko drogi naturalne... widzi ich otwierających sobie nowe komunikacje za pomocą siekiery i ognia... widzi ich przez lasy tak stare jak świat, a które ręka ludzka wykarczowała aż do szczytów wysokich gór, torujących sobie ścieszki, kopiących, wyrywających korzenie, wyrębujących pnie, uprawiających rolę, siejących i zbierających rozmaite płody, widzi rozszerzającą się cywilizacją; miasteczka stają się miastami rozszerzającemi się aż za granice im zakreślone; pystynia staje się światem gdzie lud i jego przemysł zdają się być w nadto ciasnym obrębie, bo bogactwa ziemi są nagromadzone jedne przy drugich; zwracając się potem do czasów świetności za dawnych Rzymian, odbudowywa w swéj wyobraźni starożytny gród *Lugdunum* na wzgórzach Śgo Justa i de Fourvieres, wystawia sobie w myśli pałac cesarski gdzie się porodzili Klaudius i Karakalla, wznosi na nowo mury *Forum*, całe okryte wspaniałością Trajana, odbudowywa cztery wodociągi które z naj-

dalszych stron sprowadzały do dawnego miasta wodę, na nowo otwiera teatra igrzysk publicznych, na których się szermierze popisywali; tę sławą Arenę którą Saraceni zburzyli w ósmym wieku. Widzi potem Sewera rozpoczynającego dzieło zniszczenia które Atilla miał dokonać w kilka wieków po nim, potem ze stosów rzymskich rozwalin, spostrzega powstające miasto średnich wieków, rozciągające się na brzegach Saony i Rodanu, całe przybrane w świetne proporce zwycięstw Karola Wielkiego.

Marzy o nieustającym tego miasta wzroście pomimo wylewów wody, morowego powietrza, wtargnień nieprzyjaciela i wojny domowéj; rozważa jego przemysł naginający się za każdym wiatrem burz politycznych, podnoszący się bardziej ożywiony i coraz rozciąglejszy za najmniejszym promieniem nadziei.

Koléj przyszła na Adolfa, Edward de Lerme słucha artysty z najgłębszą uwagą, zazdrości mu potajemnie świetnego spojrzenia którém obejmuje tę naturę tak urozmaiconą.... Stara się

nie stracić ani jednego z pięknych wyrażeń któremi maluje wszelkie rysy tego wspaniałego widoku.

—Jak on jest szczęśliwy! pomyślał sobie, jakże natura jest piękną, jak widnokrąg rozległym dla tego którego przyszłość sięga tak daleko! potém przemówił: musiałbym mieć twoje oczy ażebym spostrzegł ten urok który mi wskazujesz, a którego szczegóły twoje usta objaśniają, wszakże to moja pierwsza lekcja, a professor tak do mnie mówi jak gdybym był równie jak on uczonym, jego jenjusz rozwija swe szerokie skrzydła które mi przeszkadzają iść za nim wpośród tych cudów; niechże mnie prowadzi zwolna krok za krokiem, niech przynajmniéj swój chód zastosuje do mojéj niedołężności....

Ten żart sprawił że Adolf zaczął się spuszczać na dół z wysokości poetycznych, dokąd go jenjusz od kilku minut unosił, ale że mało wierzył niewiadomości z którą się vice-hrabia popisywał, odpowiedział mu:

—Nie ma potrzeby być malarzem aby postrzedz co ten obraz nam objawia. To miasto

rozciągające się wspaniale pod stopami naszemi na brzegach tych rzek które przeskakuje aby mogło więcéj uzyskać miejsca, te drogi które jakby żyły dostarczają życia temu wielkiemu ciału, ta bogata roślinność, te góry nagromadzone jedne nad drugiemi, te wieczne śniegi, te niwy okryte zbożem ta zieloność corocznie odnawiająca się, te kwiaty spadające a których zastępują miejsce owoce, te rzeki zwolna płynące, ten ruch czynnéj i pracowitéj ludności są dostateczne dla nadania ducha artysty i zagojenia ran serca.... Można we wszystko wierzyć, nawet w nadzieję najmniéj uzasadnioną, na widok tylu cudów!"

Prawda, Stwórca i ludzie mogą wszystko zrobić: powywracać skały, osuszyć bagna, uczynić żyznym grunt najbardziéj nieurodzajny, wznieść miasta na skałach, zatamować wylewy, wszystko to jest łatwem Bogu a nawet ludziom..... szkoda tylko że lekarze nie są bogami a bogowie lekarzami....

- Zawsze te same myśli rzekł z cicha Adolf.

—Zawsze! mruknął suchotnik.

Młody malarz dla przerwania téj rozmowy która stać się mogła równie smutną jaką była niedawno w kaplicy, zbliżył się do dozorcy obserwatorjum podającego mu księgę do której podróżni zwykli zapisywać swoje nazwiska, jakoteż i myśli częstokroć natchnione wspaniałością obrazu który ich otacza...

Zastosowawszy się do zwyczaju podał pióro Edwardowi.

Ten przy imieniu Adolfa Jouani dodał:

„podpisany przybył tu ubogim, powróci zapewne kiedyś bogatym i szczęśliwym"

—Cóż to ma znaczyć? zapytał Adolf.

—Że jeżeli już nie pozostało nadziei dla mnie wolno mi łudzić się nią dla drugich.

Potem podpisał swoje nazwisko.

Adolf znowu wziął pióro w rękę i dopisał przy nazwisku Edwarda de Lerme:

„Jedna myśl mniej jedna nadzieja więcej wszystko być może.

W dziesięć minut potém dwaj podróżni zeszli na dół ze wzgórza Fourvieres... oblicze vice-hrabiego wypogodziło się, zdanie napisane przez Adolfa w księdze, przychodziło mu co

chwila na pamięć, i napawało radością, h powtarzał je pomimowolnie i uśmiechał się myśląc o swéj chorobie. Ale ten uśmiech nie był już tak przykrym jak zwykle, lekka nadzieja go ożywiała... powrócił do doma z umysłem spokojnym i sercem nie tak obciążoném...

Zadzwoniono na obiad.

— Czy pan jadasz przy wspólnym stole? zapytał Adolf vice-hrabiego idąc po wschodach do swych pokojów.

— Nie!...

— Czemu?...

— Bo unikam tego odmętu panującego przy biesiadach publicznych, uszy mnie bolą od tych rozmów przerywanych, gdzie się spotykają wszystkie języki, powonienie dotkliwie cierpi od wyziewów kuchennych, nie lubię pedantyczności jednych, a rubaszności drugich, jako też ciekawości i obżarstwa innych. Wszelako jeśli tego żądasz, możemy tam zasiąść, chociażby tylko dla czynienia postrzeżeń.

— To jest prawdziwie zbiór próbek rodzaju ludzkiego.

Wkrótce zasiedli z innemi gośćmi do stołu.

Edward de Lerme był w dobrym humorze, jadł mało ale mówił wiele do ucha Adolfowi; nikt nie uszedł jego ucinkow, zacząwszy od szybko biegającego w interesach handlowych, aż do tłustego bankiera, od zuchwałości młodego aktora obieżdzającego prowincjonalne teatra, aż do zalotności młodéj mężatki podróżującéj dla rozrywki, znalazł szerokie pole do swych spostrzeżań krytycznych, za najmniejszém słowem które przemówiły te oryginalne figury, zgadywał ich tajemnice i udzielał je swemu sąsiadowi.

Suchotnik grał rolę Asmodeusza przy Adolfie Jouani.



Pracownia lekarza.

Blizko miasta Arles w prześlicznêm i malowniczém położeniu nad brzegami Rodanu, wznosi się zamek hrabiny de Lerne, ogromny zwierzyniec zewsząd go otacza, las naturalny gdzie, ręka ludzka zakreśliła tylko kilka ulic i wykarczowała kilka łąk, na stu morgach które ten zwierzyniec zajmuje. Przyrodzenie zgromadziło na tém miejscu wszelkie najdziksze ozdoby których sztuka p. Lenotre nie zdołałaby naśladować, spiczaste skały przewyższają wierzchołki drzew olbrzymich: żywe strumienie huczą w parowach dochodzących aż do Rodanu;

głębokie doliny, wzgórza drzewem okryte, ciasne i kręte wąwozy tworzą z tego lasu ogromny labirynt który zmienia swój widok co chwila.

Zamek, obszerna budowa, wystawiony był na pochyłości jednego wzgórza, które dochodzi aż do skalistych brzegów rzeki: ta otwarta i szeroka przestrzeń dla łatwiejszego krążenia powietrza i perspektywy, jest jedném miejscem przeznaczonem do uprawy która tu rozwija całą swoją wspaniałość, wszystkie owoce Prowancji dojrzewają tutaj pod promieniami skwarnego słońca, jest to najzupełniejszy koszyk Flory południowéj, ulice z drzew pomarańczowych, winnych latorośli, granatów zabrały miejsce stuletnich dębów które ręka ludzka zdaje się że daléj odsunęła, ploty z mirtu, jaśminu i drzewek oliwnych zakreślają dziwaczne kształty wielu łąk, jest to dokończona praca jenjuszu ludzkiego, obok pracy przyrodzenia, ani jedna ani druga nie tracą na téj sprzeczności.

W głębi okrągłéj doliny nie mającéj innego wyjścia jak tylko małą i krętą dróżynę która

ginie w zwierzyńcu, stoi dom, który na pierwszy rzut oka wziąłbyś za jaką niekształtną ruinę, bluszcz ją pokrywa swym gęstym liściem, ale zbliska spostrzega się ile kosztować musiała usiłowań ta sztuczna starożytność.

Powierzchownie starano się naśladować wszystkie zarysy skały na któréj ten dom jest zbudowany, z jednéj strony wystawia kąt ostry z drugiéj formę gwiazdy jak budowle gotyckie, tam znowu sterczy wieżyczka którą wziąśćby można za część skały służącej jéj za podstawę, tu wklęsłość tworząca wejście do groty mchem i minerałem wyłożonéj, zgoła jest to najszacowniejszy klejnot zwierzyńca.

Jeżeli dzika wyobraźnia przewodniczyła téj budowie, jeniusz rozpamiętywania, może także bóstwo próżniactwa, przyozdobiły jéj wnętrze; marmur, porfir, axamit, jedwab, pokrywają ściany tajemniczego zakątka który się składa ze czterech ciasnych pokojów, ale gdzie wszystkie potrzeby Sybaritów są zgromadzone z najwyszukańszym smakiem, w północnéj stronie jest osobny pokoik zwany zwykle *boudoir* którego mury są pokryte zwierciadłami weneckie-

mi, sofy na około są jednym sprzętem który się w nim znajduje, lwia skóra zastępuje miejsce kobierca i okrywa ten kawałek miejsca próżnego pomiędzy sofami, jedno nieforemne okno osłonięte zewnątrz bluszczem a zamknięte wewnątrz szkłem zwierciadlaném w różnych kolorach dozwala miejsca tajemniczemu światłu....

Obok buduaru, pokój sypialny zbytkowy, przy nim oratorjum, a nakoniec wieżyczka w któréj tajemny gabinet gdzie nikt dotąd nie postał prócz tego który ten dom zamieszkuje. — Jest to pracownia włoskiego lekarza Galjani.

Swieckie oczy mieszkańców zamku nigdy niedociekły tajemnicy otaczającéj to schronienie, gdzie wszelkie narzędzia chemiczne są zgromadzone w największym porządku, wzory osteologji pozawieszane na murze; stół i krzesło hebanowe są w nim jedynemi sprzętami, stosy nagromadzonych foljałów zajmują marmurową posadzkę, w wydrążeniu muru jest piecyk, na metalowych trójnóżkach stoją retorty napełnione extraktami w rozmaitych kolorach. Wej-

ście tego gabinetu zamyka się żelaznemi drzwiami które wewnątrz mają ogromne wrzeciądze.

Taki gabinet jest postrachem mieszkańców całego powiatu, a z którego zrobiono przybytek Szatana, drwale zamkowi rozgłosili o Dolinie djabelskiéj i o pawilonie lekarza najdziwniejsze baśnie, najniedorzeczniejsze bajki które wkrótce nabrały wiary, płomienie błękitne i czerwone przez nich dostrzeżone w wieży, posłużyły za objaśnienie, a tajemnicze sztuki włocha Galjaniego stały się dla wieśniaków okolic miasta Arles, tajnikami piekła któremi straszyli swe dzieci wierząc w nie sami.

W téj chwili wznosi się piękny płomień z piecyka i odbija o wysoką szlachetną postać opartą o jeden róg komina, żelazna szkatułka zawierająca mineralną istotę zanurzona jest w ognisku a doktór Galjani ściga swym wzrokiem wszystkie odcienia żarzącego się ciała.

Jego oczy w zupełnem nieporuszeniu wytrzymują gorącość płomienia, iskrzą się jak dwa zwierciadła gorejące, wszystko w nim okazuje

cierpliwość nie zachwianą i wielkie zaufanie w skutku swych działań. Przez czas w którym się zajmuje postępami swéj chemicznéj roboty, starać się będziemy zrobić bliższą znajomość z tym mędrcem.

Galjani urodził się w Neapolu, odziedziczył po swym ojcu majątek i umiejętność. Dzięki swéj niezmordowanéj pracy i wyższym zdolnościom, podwoił w kilku latach i jedno i drugie, a nabył takiéj sławy jakiéj dotąd nie było przykładu w teraźniejszych Włoszech....Zaledwie skończywszy lat trzydzieści popadł w melancholją która zdawała się pozbawiać go wszelkich władz umysłowych, a nawet kazała się bać o jego życie. Znikł dnia jednego, a pogłoska samobójstwa sprawiła że rozumiano iż umarł. W kilka miesięcy dopiero dowiedziano się że się udał na wschód, podróżował w Syrji i Egipcie, zatrzymał się przez czas niejaki w Kairze, potem po dwóch latach nieobecności wrócił do Neapolu.

W epoce jego powrotu hrabia de Lermezajmował bogaty pałac na ulicy Toledo. Pierwszy krok Galjanego było odwiedzenie swego dawne-

go przyjaciela od lat dziecinnych, uczucie bardzo mocne nakłoniło go do tego postępku, gdyż opuścił swój kraj jedynie dla tego ażeby więcéj nie zobaczył hrabiego de Lerme! Przez dwa lata walczył ze słabością któréj się w téj chwili poddawał: powodem jego melancholji, tajemnéj ucieczki, i tak przedłożonéj nieobecności była miłość bez nadziei, którą chciał przytłumić, a powracał z gorętszem jeszcze i gwałtowniejszem uczuciem.

Hrabia de Lerme nieco pierwéj przed odjazdem Galjaniego, ożenił się w Arles, z młodą panienką, szlachetnego rodu, którą kochał zapamiętale. Miał sobie za sławę mamić salony neapolitańskie wdziękami swéj młodéj małżonki. Dla tego właśnie ile razy przyjeżdżał do Neapolu, tego gościnnego grodu który przyjął uprzejmie jego rodzinę pod czas emigracji, nie omieszkał wydawać świetne uczty na których hrabina robiła honory z wdziękiem i skromnością młodéj gospodyni. Galjani bywał uczestnikiem tych zabaw, które dla niego były pozbawione wesołości i złudzenia. Sam w sobie zamknięty, w kąciku salonu, zgubiony w ciżbie, ani

harmonja, ani wytworne pachnidła, ani blask świateł nie przemawiały do jego zmysłów. Nie żył jak tylko spojrzeniem skierowanem zawsze w jedno miejsce, i jego serce nie miało tylko jedną myśl która równie była stałą jak jego wzrok. Ten smutek głęboki był tajemnicą dla wszystkich nawet już i po jego ucieczce.

Galjani zobaczył znowu hrabinę, ale nie była to już ta kobieta bojaźliwa która za najmniejszem spojrzeniem rumieniła się jak młoda panienka, jest ona teraz jeszcze piękniejszą, zalotna, pełna wdzięków i dowcipu, wita go jak dawnego przyjaciela swojego męża, zaprasza na bale, koncerty, złudzony, omamiony tem przyjęciem którego nie śmiał się spodziewać, nie pamięta na związki przyjaźni które go łączą z hrabią de Lerme, otucha szczęścia każe mu zapomnieć o wspaniałéj ofierze któréj nie mógł do skutku przywieść, stara się oszukać swego przyjaciela, ale za pierwszą próbą na jaką się odważył dla zapewnienia sobie zwycięztwa, obudza się z gniewem w sercu i rozpaczą w duszy... Hrabina okazała się tylko zalotną... Galjani więcéj jeszcze cierpi ze zgryzoty, wstydu, a-

niżeli jéj doznał przez dwuletnie nieużyteczne walki.

Trzy dni zatopiony w ponuréj rozpaczy, po kilkakroć razy odpędził od siebie myśl samobójstwa pożerającą jego umysł, nastąpiła niedgadniona zmiana w sercu doktora, stał się nieodstępnym swego przyjaciela, obojętnym i zimnym dla hrabiny, odzyskał sławę zwątloną przez dwuletnią nieobecność, podwoił swój majątek, podniósł kredyt hrabiego de Lerme nadwerężony rozrzutnością. — Od téj chwili, ci dwaj ludzie zaprzysięgli sobie wieczną i serdeczną przyjaźń.

Galjani zyskał pozornie na szczęściu, w tém co de Lerme zdawał się z swéj strony utracać, pierwszy stał się miłośnikiem biesiady i zgromadzeń, drugi ponurym i zazdrosnym, omylony pozorami które postępowanie płoche jego żony mogło usprawiedliwiać, uwiedziony zewnętrznem okazywaniem przyjaźni, którą Galjani zdawał się ku niemu być przyjętym, hrabia zobowiązał go aby służył za mentora jego nieroztropnéj młodéj małżonce, która zapewne zaufana w swojéj nieskazitelności, śmiała się

z zazdrosnych dąsów swego męża. Czyliż on dopełnił tego polecenia tak delikatnego i tyle dla niego niebezpiecznego. Skutek zdawała to dowodzić, gdyż hrabina cokolwiek mniéj była wesołą, i nie tak często bywała na balach. W téj epoce pewien malarz włoski został zamordowany wychodząc wieczorem od pani de Lerme; powszechny odgłos oskarżył męża a nie wspomniał o Galjanim; czy oni obadwa byli niewinni, tego właśnie nie można twierdzić.

Hrabia de Lerme opuścił Neapol po czteroletnim w nim pobycie i osiadł w Arles, w rozległych posiadłościach które były dziedzictwem jego żony. Galjani przyjechał za niemi; swemi pieniądzmi stał się z obowiązku domownikiem hrabiego, który nie był wstanie oddać ogromnych summ od niego pożyczonych.

Lekarz przedsięwziął znaczne zmiany w dobrach swego przyjaciela, jak gdyby był ich właścicielem, zamek został wyporządzony, i w nowe zupełnie zaopatrzony sprzęty, wielka część gaju zasłaniająca widok Rodanu, znikła jakby za czarnoksięskiém skinieniem, a ogród

któryśmy opisali wytkniętym został podług jego planów... kazał wystawić dom w Dolinie djabelskiéj i przeznaczył go na swoje mieszkanie.

Na wszystkie uwagi hrabiego, Galjani odpowiadał. — Ja się żenić nie myślę, nie mam potomków, twój syn po mnie odziedziczy, jego to pieniądze i dla niego wydaję.

Wówczas de Lerme miał syna który mógł mieć ze cztery lata... W rok potém hrabina powiła córkę i Galjani mawiał do swego przyjaciela winszując mu tego szczęścia: mamy dwóch dziedziców, zamiast jednego.

Dotąd wszystko szło szczęśliwie w zamku, hrabia uleczony ze swéj zazdrości przez zmianę zaszłą w postępowaniu żony, błogosławił niebiosa że go obdarzyły przyjacielem którego serce było tak bezstronném, hrabina zniechęcona zabiegami zalotności przez jeden domysł że była może przyczyną zbrodni którą zazdrość jéj męża mogła popełnić, nie myślała tylko o swoich dzieciach, i znalazła w tém miłem zatrudnieniu ruskosze których dotąd nie znała.... Galjani wydawał się jeszcze szczęśliwym..... Na

łonie téj słodkiéj przyjaźni będącéj jego dziełem, zdawał się tylko pragnąć aby hrabina zapomniała o obrazie którą jéj dawniéj wyrządził....

Dopiął w tém swojego celu. Pani de Lerme widziała w nim tylko dobroczyńcę swych dzieci. A potém kobiety łatwo przebaczają ten rodzaj krzywdy.

Czy tylko serce uczciwego lekarza tak było spokojném jak dopiero powiedzieliśmy?...

Serce tego człowieka było szczególnego rodzaju!... Jeszcze słów kilka a będzie można dostrzedz niektórych tajemnic które w niém ukrywał.

W sześć lat po sprowadzeniu się do zamku hrabia de Lerme dotknięty został słabością piersiową. Cierpiał dwa lata i umarł na rękach Galjaniego któremu polecił swą żonę i dzieci. Ten przyrzekł nigdy ich nie odstępować...

W pośród ogólnéj żałoby którą ta śmierć w zamku sprawiła jedna osoba łez nie wylewała: tą był lekarz. Jego postawę zimną bra-

no za moc duszy i za szlachetne poświęcenie się. Nikomu nie były tajne rozporządzenia testamentu doktora względem dzieci hrabiego, i obietnica którą mu przy zgonie uczynił, zastąpić im miejsce ojca.

Gdyby w nocy która nastąpiła po tem nieszczęście, można było dostać się wewnątrz małego pawilonu Djabelskiéj doliny, widzianoby człowieka przewracającego się po łóżku dla tłumienia, wcale nie jęków żalu, ale uniesień swojéj radości, posłyszanoby wymawiającego jakieś tajemnicze wyrazy pochodzące jakby z obłąkania jego zmysłów... serce Włocha pozwalało wylać się namiętności którą hamował od tak dawnego czasu; widział nadzieję uśmiechającą się przy zwłokach hrabiego. Ta nadzieja wprawiała go w szał, tem popędliwszy że pochodził z mocy jego duszy któréj musiał był potrzebować do utajenia swéj tajemnicy, nawet w oczach hrabiny.

Przez cały czas żałoby, Galjani był zimnym pocieszycielem: nadto mocny aby pozwolił dostrzedz swoje nadzieje, udawał się do obłudy, odgrywał zawsze rolę przyjaciela przy

wdowie a ojca przy jéj dzieciach; i ten człowiek, którego wszystkie rysy wyrażały pokój umysłu...przepędzał dnie które mu się zdawały wiekami, z niecierpliwością kochanka oczekującego chwili naznaczonéj dla swojego szczęścia; ten rok zdał mu się dłuższym od lat ośmiu upłynionych. Wszelako rok się skończył a wdowa zatrzymała swoją zasłonę i swe szaty żałobne....Ileż to Galjani potrzebował wytrwałości, ażeby do tego nigdy nie kończącego się roku dodała jeszcze kilka miesięcy! dla przytłumienia bicia gwałtownego swego serca ile tylko razy zbliżał się do hrabiny... Tak upłynęło sześć miesięcy....

Raz w wieczór, chciał do niój przemówić ale słów mu zabrakło, zmięszał się jak złoczyńca...ledwo nie zemdlał, nie mógł utaić przed wzrokiem pani de Lerme swego pomięszania wewnętrznego.

—Nic to, odpowiedział wstając i nagle wychodząc.

A powróciwszy do swego mieszkania bił się zapalczywie w czoło narzekając na swoją nie-

śmiałość, rozdzierał sobie piersi, oskarżając swe serce jako bojaźliwe.

Nazajutrz hrabina odebrała wyznanie tajemnicy Galjanego....dzień późniéj Galjani odebrał następującą odpowiedź:

„Nadto pana szacuję abym go chciała oszukać; nie czuję miłości ąylko dla moich dzieci.

Do śmierci wdowa de Lerme.

Włoch ze swojéj wędrówki na Wschodize przywiózł okropne tajemnice trucizny tak raptownie zabijającéj jak i piorun, trucizny która powoli niszczy jak choroba chroniczna. Otoczony tym zatrutym orężem, miał tylko jedną myśl niszczenia, i ta myśl wachała się między sposobami których te tajemnice mu nastręczały....Odczytywał pismo hrabiny, jak gdyby oczom swoim i pamięci nie wierzył i za każdym razem z ust jego wydobywały się głuche jęki, cały był zakrwawiony gdyż krew strumieniem lała się z ust jego.

W jednéj maléj chwilce wszystkoby było dla niego skończoném gdyby tego zachciał, ale nadzieja jeszcze uśmiechała się do niego, powolna trucizna w którą się wpatrywał swemi dzikiemi oczyma podawała mu niespodziane wypadki w przyszłości; hrabina znając jego tajemne uczucia, i widząc zwolna umierającego, czyż nie będzie go żałować? czyż będzie to w jego mocy wstrzymać skutki trucizny, gdyby kiedyś zezwoliła na oddanie mu swéj ręki? Ale jeśliby uzyskawszy to szczęście, nie mógł wstrzymać śmierci zawierającéj się w jego łonie?

Okropny uśmiech osiadł na jego ustach, które gryzł ze złości, włosy na głowie powstały, dreszcz przeszedł po całem ciele, rozpacz wskazała mu jak sobie miał postąpić była to myśl którą samo piekło wyzonęło, ale nadzieja szkaradna uśmiechała zię do niego u celu gdzie go ta myśl wiodła a którego odległość mógł zbliżyć lub oddalić.

Pogrążył się w tém rozmyślaniu i dzień go zastał na tém samém miejscu jakie wczoraj wie-

czór zajmował.....Wcale już nie pomyślał o samobójstwie...

Gdy się pokazał u hrabiny, najdoświadczeńsze oczy nie zdołałyby dostrzedz niepokoju w jego sercu; zwierciadło duszy niewierném było w ciele Galjanego; sama nawet hrabina się zwiodła.

Wiele już lat upłynęło od śmierci męża a hrabiny wzrok badał każdego ranku wybladłe rysy swych dzieci, syn już doszedł dziewiętnastego roku, a córka czternaście liczyła, gdy na okropne oznaki suchot zadrżały wnętrzności macierzyńskie nieszczęsnej kobiety. Z ust do ust przechodząc aż do niéj doszedł wyrok który wydał lekarz Galjani względem Edwarda de Lerme i jego siostry, oni oboje mają suchoty! mówił, i te wyrazy śmierć objawiające obiły się o uszy hrabiny...

Nie radząc się jak tylko swojéj rozpaczy, i nie obawiając się zrobić krzywdę przyjaźni, wezwała na ratunek swych dzieci, wszystkich ludzi których porada mogła być użyteczną Gal-

janiemu, zdanie Włocha zostało potwierdzone przez dwie narady które zniszczyły ostatnie nadzieje wdowy... Nadaremnie czyniła wszelkie usiłowania dla utajenia swojéj zgryzoty w obliczu syna. Napróżno z rozpaczą i wymową macierzyńską błagała wszystkich znajomych aby ukrywali przed synem i córką przyczynę ich choroby... Jakiś głos tajemniczy, zdradliwy, nieodgadniony wyzionął ten okropny wyrok. Takie było źródło tej śmiertelnéj myśli bez przestanku ścigającéj Edwarda de Lerme którego zostawiliśmy z Adolfem Jonani w Lyonie... Takim to jest ten lekarz Galjani, któregośmy widzieli przy piecyku chemicznym oddanego swym sztucznym doświadczeniom i myślom o przyszłości...



NARADA.

VI.

Jeden raz tylko za życia swego małżonka, hrabina na chwilę wstąpiła do mieszkania Galjaniego. Nigdy od tego czasu nie postała w dolinie... a wszelako ona to schodzi krętą ścieszką prowadzącą do pawilonu. Włoch ją spostrzegł przez okienko z wieżyczki, oczom własnym nie daje wiary... Jednakże to ona! pocóż ona przychodzi? I Galjani wybiega nagle ze swéj pracowni któréj drzwi starannie zamyka nie zważając na nieład swago ubioru, bieży na przeciwko pani de Lerme..... Spotykają się przed wejściem do rozwalin...

— Cóż hrabina rozkaże? zawołał głosem bardziéj wzruszonym jak zwykle.

—Nie dla niéj, odpowiada mu pani de Lerme w największéj niespokojności... ona śpi! mniéj cierpi! Ale nie mogę tu w tém miejscu objawić powodu który mnie sprowadza...

Galjani prowadzi ją pod sklepienie skały gdzie są urządzone siedzenia darniowe...

— Nie, nie, tuby mnie postrzeżono, albo podsłuchano... w domu panie Galjani. I przebywa wschody w skale wykute prowadzące do ganku pawilonu, wchodzi nie zważając no Włocha który za nią pośpiesza w niespokojności trudnéj do opisania.

Hrabina w jego mieszkaniu! pośród tych tajemniczych murów, gdzie tyle o niéj marzył gdzie we śnie tyle razy ją wzywał, ona u niego a on może za poruszeniem tajnéj sprężyny wzbronić każdemu do nich przystępu. — Galjani przebywając cztery schody do swego mieszkania, ujrzał niebo i piekło roztwarte przed swemi oczyma; tysiączne żądze przebiegły

krew jego, na nogach utrzymać się nie może; ledwie oddycha spieczonemi ustami, a oczy łzami się napełniają. Goreje i drży, wyciąga ręce naprzód aby mógł ją schwytać i zatrzymać, ręce mu opadły bezwładne... Gdyby się hrabina obróciła, byłaby krzyknęła na widok Galjaniego. Wszelkie namiętności jego duszy opanowały go, zdradziłsam siebie.

Ale się ona nie obróciła, usiadła na krześle, i zakryła sobie twarz rękoma, długo płakała, a on stojąc przed nią pożerał ją swém spojrzeniem, rozważał tę boleść, walczył z haniebną myślą która go opanowała.

Niawiadomość w którój była hrabina co się działo w duszy Włocha ocaliła ją, gdyż gdyby była zrobiła jeden krok do wyjścia, byłaby zgubioną.

Dwa słowa wstrzymałyby wybuch grożącego jéj wulkanu.

— Moje biedne dzieci! Zawołała wznosząc swe ręce ku Galjaniemu ale go nie mogła dojrzéć, bo jéj powieki były napełnione łzami!...

Galjani upadł na krzesło, wycieńczony znużeniem....Jego umysł zesłabł, był on w niwecz obrócony walką kilku minut którą wytrzymał dopiero.

Głuchym zamruczał głosem:

Po cóż więc pani tu przybyłaś?...

Hrabina otarła oczy, wstała, kilka zrobiła kroków i znowu usiadła: nieład jéj poruszeń objawiał pomieszanie myśli.

Wzrok Włocha ścigał ją niespokojnie z upodobaniem: była ona jeszcze piękną pomimo trzydziestu dziewięciu lat skończonych, pomimo śladów jéj żalu! jéj bladość i łzy dodawały więcéj władzy jéj doskonałym i szlachetnym rysom. Powaga rozpaczy sprawiła, że Galjani spuścił na dół oczy i zadrżał nawet...

—Cóż mi sprawia szczęście widzenia tu pani? wyrzekł jeszcze ciszéj...

—Przychodzę tu szukać nadziei którą sam tylko jeden dać mi jesteś w stanie.

—Czemuż to nie jest w mojéj mocy!

—Nie idzie tu o pana umiejętność: stała się ona równie nieużyteczną jak moje modły.. . Ale posłuchaj mnie z uwagą: Niebo mnie natchnęło

myślą, tak ztamtąd ona tylko może pochodzić, gdyż jest szczytną przez ofiarę któréj po mnie wymaga, przez poświęcenie się które mi nakazuje. Nader słodka nadzieja przywiązana jest do urzeczywistnienia téj myśli: jeżeli ją potwierdzisz, nic mi się nie będzie sprzeciwiać; z radością poświęcę to co mam najdroższego na świecie, wtenczas nawet gdybym się stała najnikczemniejszą z niewiast...Jeżeli ocalę mojego syna, Galjani...jeżeli go ocalę, jego—jego samego. gdyż co się tycze méj biednéj córki, ona już jest straconą! Poświęciłam ją Bogu....Ale gdyby przynajmniéj mój Edward mi pozostał, byłabym jeszcze szczęśliwą.

—Trzebaby na to cudu!...

— Czemużby się nie mógł okazać w nadgrodę mojego poswięcenia się?

—Radbym panią zrozumiéć.

—Ja bo sama nie pojmuję mocy duszy jakiéj mi będzie potrzeba dla udania się do środka którym mnie Bóg i rozpacz natchnęły.... Wiesz iż jakaś wyrocznia niepojęta, lub jenijusz złośliwy, objawiły Edwardowi wyrok śmierci wydany na niego przez zgromadzenie lekarzy....

Wiesz iż ten głos zdradziecki, wyrzekł także iż ta choroba jest dziedziczną, i że od czasu nieszczęsnego wyjawienia powziął mój syn to przekonanie że wszelka nadzieja dla niego jest straconą...Nie prawdaż iż ta myśl jest bardziéj zabójczą niźli sama choroba? nie prawdaż że gdyby można ją odwrócić—gdyby można ją zupełnie zatrzeć w jego umyśle, byłoby jeszcze rzeczą podobną go ocalić?

—Trudniéj przekonać umysł jak zwyciężyć chorobę.

—Lecz gdybym znalazła tajemnicę zniszczenia myśli tego śmiertelnego dziedzictwa?

—Ja hrabiny nie rozumiem.

—Nie rozumiesz mnie!...Gdyby można było powiedzieć Edwardowi: Twój ojciec nie był suchotnikiem, a zatem i ty nim nie jesteś.

—Onby pani nie uwierzył!

—Z dowodami w ręku, Galiani, z dowodami!

—Ja prawdziwie nie wiem jakie dowody mogłabyś mu pani przytoczyć?

—Wystawże sobie pan Galiani że mam dowody widoczne, którym zaprzeczyć nie można Teraz proszę mi odpowiedzieć.

Hrabina oczekuje na odpowiedź o któréj Włoch bynajmniéj nie myśli; jego wzrok przenikliwy zagłębia się do duszy wdowy dla odgadnienia tajemnicy którą ona przed nim ukrywa; głos prawdy z jakim wyraża się o dowodach które może przedstawić Edwardowi, przestrasza go, coś jest więcéj w twarzy Galjanego niż obrażona duma, możnaby sądzić że się lęka aby nie usłyszał z ust hrabiny strasznego zaskarżenia przeciw sobie.

—Ależ mi pan odpowiedz! zawołała z rozpaczą.

—Cóż ja pani mogę odpowiedzieć? wyrzekł lekarz jakby obudzając się ze snu, alboż ja jestem Bogiem ażebym odgadł znaczenie obłąkanych pani wyrażeń? To mówiąc przechadzał się wielkiemi krokami dla ukrycia swego pomięszania!

—Gdybyś był ojcem, mniéjbyś pokładał wiary w niemylności téj sztuki, zrozumiałbyś te wyrazy, które twoja pycha obłąkanemi znajduje, pojąłbyś najmniejszą nadzieję która zawita

do macierzyńskiego serca. Ale wszechmocność Boga jest bez granic, tam gdzie wysilenia umiejętności nic począć nie mogą, dobroć Opatrzności wszystko zrobić jest wstanie. Dla tego że rada lekarzów wyrzekła: Umrze z téj choroby! należyż się oddać na ofiarę bez wezwania pomocy Boga, losu, tego wszystkiego nakoniec, do czego rozpacz dopuszczać może!

Galjani, słuchając jéj czuł lżejszym ciężar który go uciskał. Omylił się więc tłómacząc sobie wyrazy hrabiny... I wnet odpowiedział:

—Wierzaj mi pani że wachałem się z odpowiedzią jedynie z obawy obudzenia nadziei mogacej stać się jéj bardzo szkodliwą; gdybym znał środek którego pani chcesz użyć, gdybyś mi okazała pobudki na których zasadzasz wzmiankowane dowody, możeby moje rady jako przyjaciela i jako lekarza, dodały więcéj wagi do zjiszczenia jéj zamiarów.

Hrabina słucha go z uwagą podobną do zachwycenia, potém rzecze do niego z niechęcią:

—Ale nie odpowiadasz mi na moje zapytanie, panie Galjani! niech te dowody będę rzeczywi-

ste lub udane, jeżeli mu je przedstawię tak podobnemi do prawdy, że zdołają odwrócić nakoniec tę myśl która go zabija, czy jego umysł oswobodzony od widma swego ojca, będzie mógł powziąść nadzieję? Czyż można wyléczywszy wyobraźnię· wyleczyć i chorobę?

—O zapewne, bardzo często!

—Kiedy tak to mi jest dostateczném! dziękuję za przyjacielską odpowiedź.

Potém wstaje i już ma wychodzić, gdy Galjani zatrzymując ją mówi:

Niczém więc dotąd nie potrafiłem pozyskać pani zaufania? Kiedyż przestaniesz pani nie mieć dla mnie tajemnice?

Nie Galjani, nie mogę panu powiedzieć to czego żądasz, ta tajemnica nie wyjdzie tylko raz z mych ust, i sam tylko Edward o niéj wiedzieć będzie!

—Strzeż się pani! rozpacz może zaślepić i przyspieszyć katastrofę którą wszelkiemi siłami staram się oddalać.

Jeżeli środek którego chcę użyć, może zgubić kogo, to zapewne nie Edwarda... przestań pan na tem zapewnieniu z ust matki.

Wychodzi z pawilonu z równym jak tam przyszła pospiechem, Włoch ściga ją wzrokiem niespokojnym...wykłada dwudziesto sposobami niezrozumiałe słowa hrabiny; jego umysł męczy się aby odgadł tajemnicę która ma zapewnić uleczenie moralne vice-hrabiego....

Jego uleczenie... mówi do siebie w największém pomięszaniu... jego uleczenie!... biedna kobieta, ja nie chcę żeby się on wyleczył! i jéj usiłowania na niczém spełzną! a jednakże gdyby ona chciała tego... tylko jedno słowo... powróciłbym jéj tego syna... niezawodnie powróciłbym jéj go... ale ona nie wymówi tego słowa któreby go potrafiło wydrzeć śmierci... nie, ona go nie wymówi, ona mnie tyle nie kocha... ona mnie nigdy nie kochała... nie masz dla mnie nadziei póki jéj pozostanie ktokolwiek do kochania. Ale trochę cierpliwości!.... koniec mych cierpień nadchodzi, musi nadejść ta pora od ośmnastu lat oczekiwana... do któréj zbliżam się ostróżnym krokiem. Odosobnienie, rozpacz, zmuszą ją aby rzuciła się w moje ręce!... gdybym się też omylił, gdybym się

jeszcze zawiódł... O! wówczas... Włoch podnosi oczy i wydaje okrzyk zadziwienia na widok dziwnéj postaci która przed nim stoi.

Jest to człowiek około czterdziestu lat mający, ubrany po turecku... wysoki ,chudy i ogorzały, ma oczy białe jak z porcelany... głowa ogolona, przykryta czapeczką grecką, niższa warga wisząca i grubości niezwyczajnéj, pozwala widzieć dwa rzędy białych jak kość słoniowa zębów, ręce założone na plecach, stał nieporuszony, póki trwało zachwycenie lekarza.

— Czy już z powrotem Abdallach! zawołał. Mulat wyjął z ust sigaro i odpowiedział:

— Już panie!...

— Dla czegóż tak prędko?

— Bo tu będę panu potrzebniejszym aniżeli tam.

— Wytłomacz się...

— Nabawiłem pana fałszywéj trwogi!...

— Jakiż tego dowód?...

— Dowodem jest że się rozłączyli, i że młody człowiek o którym mowa, sam wyjechał z Lyonu do Awinjonu, gdzie zupełnie jest spokojnym, zajmując się tylko starożytnościami w téj okolicy...

— A vice-hrabia?

—Nie wiem gdzie jest teraz, może w Szwajcarji, w Paryżu albo u samego djabła!...

— Trzeba było iść za nim.

— O, nie mogę się rozdzielić na dwie części! Ponieważ twoja uwaga, panie, zwróconą była na cudzoziemca, nie spuszczałem go z oka.

—Biada tobie jeżeliś się pomylił!

— Biada więc pozorom, panie!

— Jakże zdrowie vice-hrabiego?

— Jak niebo we Francji... podlegające częstym zmianom.

— Czy nie zasięgał rady jakiego lekarza w Lyonie?

— Nie sądzę, ale nie mógłbym za to zaręczyć.

— Nie masz już więc ani oczów ani uszów.

— A na cóż zdać się mogą, gdy nie masz nic do słyszenia ani do widzenia?

— A twoja zwinność i gibkość węża, w cóż się obróciła?

— Sprobój ją pan przy lepszéj sposobności...

— Dobrze! dobrze!... i wkrótce jéj sprobuję...ponieważ się rozłączyli, musiałem się omylić... Edward czy cię nie widział... czy cię nie poznał?

— Nie panie, dzięki mojemu przebraniu i ostrożności, gdyż tylko w nocy za niemi chodziłem...

— A we dnie?

— Biały Europejczyk w mojem miejscu im towarzyszył, za pańskie pieniądze.

— I wcale nic nie słyszałeś?

— Same tylko potoczne rozmowy...

— Dobrze! wyśmienicie! spotkałeś się z hrabiną?

— Z wielkiém mojém zadziwieniem!

— Cóż ci powiedziała?

— Nie postrzegła mnie, byłem nadto dobrez

ukryty w krzewinie kiedy koło mnie przechodziła.

— A więc nie wszedłeś do zwierzyńca przez bramę od miasta Arles?...

— Nie! ale przez parów wiodący do stawu de la Crau...

— Wiem gdzie jest ta droga, ale rozumiałem że wtenczas tylko tamtędy chodzisz gdy jesteś pijany, żebyś się nie pokazywał w tym stanie służącym zamkowym.

— Dodać do tego należy, ile razy wysłany przez pana jestem z jakim tajemném poselstwem...

— Poprowadzisz mnie tą drogą...

— Z ochotą! ale trzeba będzie panu nieraz czołgać się nad kolanach i pełzać na brzuchu dla dostania się do góry, potém zsuwać na dół ślizgając, z narażeniem roztrzaskania sobie czaszki o skały. Jest to wychód mogacy być użytecznym w razie nagłym i nie spodzianym.

— Dokądże prowadzi?

— Do skalistych wzgórków służących za groblę wodom z Sansouires; bez téj tamy djabelska dolina utworzyłaby bardzo piękne jezio-

ra, a pańskie mieszkanie stałoby się chatą bobrów.

— Czy tak jest istotnie, Abdallah.

— Łatwo pan się sam o tém przekonasz, co do mnie, pewny jestem że gdyby woda bardzo przybrała, grobla Sansouires nie zdołałaby oprzeć się zalewom, a wtenczas biada mieszkającym na dolinie!

Mulat wlepił swoje białe oczy we Włocha, jak gdyby chciał się przekonać jak daleko sława przez niego wyrzeczone, doktora zatrwożyły. Ale Galjani zdawał się być zajęty wcale inną myślą jak niebezpieczeństwem któreby mu mogło zagrozić... przemówił nawet wpatrując się w oblicze swego niewolnika:

— Gdyby była moja wola ażebyś zepsuł tę tamę, czybyś mógł mi być posłusznym?...

—Rękami jak moje, a do tego z wolą jeszcze od nich mocniejszą, w kilku godzinach zrobiłbym otwór dosyć szeroki... Impet wody dokonałby reszty...

— Więcbyś mnie usłuchał?

— Alboż nie przysiągłem wypełniać wszystkie pańskie rozkazy?

—Gdyby nawet szło o zatopienie mnie w mom pawilonie?

— Jeżelibyś mi to rozkazał, nie wachałbym się...

— Dobrze!...

Lekarz podał rękę Mulatowi, ten ją wziął, schylił się, i położył na swéj głowie mówiąc:

— Aby tylko jak można najpóźniéj, panie... albo nigdy!

— Jak zechce przeznaczenie! przebąknał Włoch ponurym głosem, powstając z krzesła, w chwilę potem zamknął się w swojem laboratorjum... a Mulat rozciągnięty na lwiéj skórze zasnął głęboko.



AWIGNON.

VII.

Tragarz niosący rzeczy podróżnego za którym tenże postępuje, przechodzi przez spokojne ulice Lyonu i przybywa do nadbrzeża Angulemskiego, potem do Perache, dzwon statku parowego słyszeć się daje z daleka, kłęby czarnego dymu pokazują się na prawym brzegu rzeki i służą za przewodnika tym co się spóźnili, piąta godzina ranna wybiła na wieży kościoła Ainai, jeszcze kilka minut a odpłynienie statku Rodan, do Marsylji, nastąpi; Adolf Jouani przybywa dość wcześnie aby nie utrácić miejsca wczoraj zamówionego.

Nim opuścił dom zajezdny w parku, Adolf zostawił na fortepianie bilecik do Edwarda de Lerme w tych słowach:

„ Jestem zmuszony powodami które pan odgadniesz i zapewne je potrafisz ocenić, rozłączyć się z nim prędzéj aniżeli pragnąłem, pamięć którą z sobą unoszę nigdy nie będzie zatartą, nie uczułem nigdy tak żywo jak opuszczając pana chęci utorowania sobie drogi do szczęścia i sławy. Jeżeli kiedy powiedzie mi się nabyć ją, z jakąż powrócę do niego radością... W ów czas moja duma nie będzie miała przyczyny zatrważać się, i będę mógł bez obawy poświęcić się przyjaźni którąś mi oświadczyć.“

„ Na klawiszach fortepianu znajdziesz zawiniętą kwotę na opłacenie moich wydatków w domu zajezdnym. Przebaczysz pan że po kryjomu wyjeżdżam, pomyślawszy o pobudce która mnie do tego skłoniła.

Tegoż samego wieczora Adolf Jouani wysiadł na ląd w Avignon, we cztery dni potém napisał do swéj matki list następujący:

„ Moja łaskawa matko! Co za wyborny był

pomysł zakładów poczty dla przesłania od jednéj granicy do drugiéj pocałowań, wyrazów miłości od tych osób które się kochają, a które znaczna odległość przedziela! ile słów, ile myśli! ile łez zawartych w tych ćwiartkach papieru złączonego i opieczętowanego starannie jakby z obawy aby nie uleciał z nich w drodze jaki wyraz, jakaś, myśl, lub jedna z tych łez, które w sobie zamykają! — Ileż list nieobecn go jest nieoszacowaną rzeczą! oczekuje się na niego z niecierpliwością równie dolegliwą jak gorączka!... Jakżeż ręka drzy odbierając go, bojemy się zmazać najmniejszego znaku łamiąc pieczątkę! oh! bo też cała dusza osoby od ciebie oddalonéj jest zamknięta pod tą kopertą i najmniejsza nitka jedwabna która się oddziera od tego papieru jest połączoną z nerwami serca tego ktory go pokrył swém szanownèm pismem! mnie się zdaje że takie listy nie powinnyby się mieszać z tą zimną korrespondencją razem zamkniętą, i że jaka moc nadprzyrodzona powinnaby je uchować od zetknięcia się z temi które żądza zysku i pieniactwo nagromadza za każdą pocztą, a wszelako moja droga

matko, każdy list który do ciebie piszę i sam na pocztę zanoszę bojąc się żeby go niezawieruszono, ten list który z taką radością napisałem i na którym zamieściłem na kopercie (bardzo pilno) widzę jak go odbierają z pogardą i rzucają pośród stu innych, a ja rachuję dnie i noce przez które ma być w drodze. Potem tego dnia i godziny w któréj go masz odebrać jestem szczęśliwy jak gdybym się przy tobie znajdował.... Wiem że mój list do ciebie mówi, że się do niego uśmiechasz, płaczesz, i ja śmieję się i płaczę jak gdybym cię słyszał, zaczynam potem rachować dnie i noce, moje serce mi powiada że twoja odpowiedź do mnie się zbliża, czekam na poczcie daleko pierwej przed jéj przybyciem Jestem najpierwszy przy kratce kiedy rozdzielają listy i szczęśliwy odchodzę z listem mojéj matki, lub zmartwiony jeżeli się o dzień spóźni.

Trzeba być oddalonym od swego siedliska, od swych nawyknień, od przedmiotów swego przywiązania, aby doświadczyć tych głębokich wzruszeń, albo trzeba być matką i kochać swego syna jak ty mnie kochasz, aby je równie uczuć

nie będąc pozbawioną tylko jego jednego... Na początku mojéj podróży, omamiony nowością, nie tak mi się zdawała daleką odległość która nas przedziela; teraz im więcéj się oddalam tem częściéj zwracam mój wzrok ku Paryżowi, i mówię do siebie: mój Boże jak jest ode mnie odległy! Pewny wypadek który ci muszę opowiedzieć dodaje jeszcze bardziéj tęsknoty w odosobnieniu w jakiem się znajduję; opuściłem w Lyonie cudzoziemca o którym ci doniosłem w pierwszych mych listach, i szczerze ci się przyznam żem go z żalem opuścił, czułem do tego młodego człowieka pewny pociąg, przyjaźń, słowem bardzo mi było przykro kiedy musiałem się z nim rozłączyć. Ale moja kochana matko powinienem był tak uczynić, wiem że podzielisz w téj mierze moje zdanie, kiedy się dowiesz o pobudce która spowodowała to nagłe rozstanie się.

„Jak już ci dawniéj doniosłem byłem niespokojny ze względu na szczupły fundusz który przy sobie posiadam, i pragnąłem wiedzieć ile się ode mnie należy w domu zajezdnym; dniem przed moim wyjazdem z Lyonu zażądałem ra-

chunku od pisarza, który odpowiedział mi, że wszystkie wydatki są zapisane na rachunek cudzoziemca ze mną mieszkającego. To nie przeszkodziło bynajmniéj mojemu naleganiu ażeby mi przedstawił cały rachunek dla oddania go P. de Lerme, lecz pisarz wyznał że vice-hrabia mu tego surowo zakazał, domyślając się zapewne mojego żądania. Jeszcze bardziéj tem niepokojony jak stanem mych funduszów, postanowiłem prosić jeszcze tegoż samego wieczorn aby się p. de Lerme mnie wytłumaczył, jego odpowiedź nie była wcale zaspakajającą, chociaż chciał oszczędzać moją delikatność, odgadłem jego zamiar. .Naprózno nalegałem zaspokoić to co winienem, odpowiedział mi upórnie: mamy dosyć czasu, wszakże się jeszcze nie rozstajemy.

„Nadto dumny abym był na czyim koszcie, musiałem uciekać przed tem poniżeniem; nazajutrz opuściłem Lyon o piątéj godzinie zrana, dając mu o tém znać moim biletem który musiał znaleść przebudziwszy się. Domyślasz się droga matko żem nie zapomniał mu zostawić to co sądziłem że się odemnie należy, wszela-

ko mam sobie do wyrzucenia żem go opuścił. Ten biedny młodzieniec zdawał się czasami być tak szczęśliwym przy mnie, ach! czasami także zdawał się tak cierpieć, i niesłychanych dokładać usiłowań dla ukrycia swoich dolegliwości aby mnie nie zasmucać—a potem układał sobie plany na przyszłość—kiedy nadzieja powracała do jego serca, należałem do jego wszelkich zamiarów, jako istota niezbędna do jego szczęścia; mówił mi o tobie, mówił mi o swojéj matce, opłakiwał swoją siostrę i nazywał mnie swym przysposobionym bratem; jakaś dziwna mieszanina wyrażeń tajemniczych i zwyczajnych wymykała się często z jego ust, przychodziło mi czasem na myśl, że ten obcy zesłanym został do mnie przez jakąś osobę ukrytą; że jakiś bardzo ważny powód sprowadził go na moje spotkanie; ile razy powiedziałem cóś ściągającego się do tego powątpiewania, w którém się chwiałem, ten zaraz znikał, stawał się dla mnie jak pierwéj cudzoziemcem a ja wstydziłem się moich myśli....Wypadło zatem zerwać te scisłe związki tak szczególnie utworzone, musiałem na-

kazać milczenie sercu które się skłaniało przypisywać winę mojéj dumie, umysł jest zaspokojonym ale serce uciśnione. Częstokroć drogo kosztuje tak działać jak rozum rozkazuje.

„Nakoniec jestem w Awinjonie, przybyłem do miasta które jest razem gotyckiem, afrykańskiem i włoskiem. Wtenczas kiedy promienie ostatnie zachodzącego słońca oświetlały obwód murów strzelnicami opatrzonych, czerwone jego tło odbijało się w zagrażających oczach ludzi portowych którzy się z impetem rzucali na rzeczy przybywających podróżnych; nie możesz sobie wystawić jak wyglądają ci ludzie; nigdy łotry włoskie nie mogą mieć ostrzejszych sztyletów jak wzrok zabójczy tragarzów Avinjońskich: słyszałem ich krzyczących: do Rodanu! do wody! na jednego cudzoziemca sprzeczającego się o niesłuszną cenę jakiéj od niego wymagali, za przeniesienie walizy.

Najpierwszem zatrudnieniem przybywającego do tego miasta które w sobie mieści tyle ciekawych przedmiotów, musi być koniecznie spotkanie się z temi grubjanami. Przykre wrażenie jakiego doznałem na ich widok stwierdzo-

ne zostało szczegółami jakich mi udzielono o téj klassie ludzi, których Avinjon znosić musi jak trąd nieuleczony, i których żadne rozporządzenia porządkowe nie są zdolne w karbach utrzymać. Towarzystwo uorganizowano do mordów i łupieztwa, rzuciło się całe w 1815 r. na protestantów rozbrojonych, oni to zamordowali nieszczęsnego marszałka Brune i wlekli jego czcigodne zwłoki aż do Rodanu aby je tam wrzucić.

„Od czterech dni jak jestem w Avinionie zdaje mi się żem zwiedził całą Europę, wszystko co może podnieść umysł paryżanina, wszystko o czem mógł marzyć po wieczornych czytaniach-tam się znajduje, połączone w obwodzie łatwym do przebieżenia, nic nie ma dziwnego że Józef Vernet, powracając z Rzymu chciał okazać iż Avinjon, jego rodzinne miasto zasługiwało także aby się niém zajmować, w istocie z wierzchołka skały Doms....co za wspaniały obraz! na którąkolwiek stronę wzrok swój obróci człowiek najbardziéj obojętny, znajduje cuda przyrodzenia, nie może się oprzeć zapałowi który go opanuje. Rozwaliny poważne, bystre bałwany,

gołe skały, góra prawie nieprzystępna, wieczne śniegi następują jedne po drugich, łączą się z sobą i składają widnokrąg który ginie w błękitnem niebie, ileż pamiątek rozsianych na wszystkich wystających punktach tych mass niekształtnych! Tu Villeneuve i klasztor Kartuzów spustoszony, i grobowiec Innocentego VI na pół zniszczony, potem ku północy na wierzchu góry szarawéj zamek Templarjuszów, daléj na brzegach Rodanu wieża Air, blizko niéj skała Maurów pod którą przechodziły przed tylu wiekami hufce Annibala, tam na równym brzegu stary zamek Montfaucon i jego urocze ogrody, które sztuka wywiodła ze skał i nie płodnych piasków, potém przy ujściu rzek Lorgue i Ouese wioska z dwiema basztami, i szczyt błękitnawy góry Lence. Prawie ku wschodowi olbrzymia Venton którą przebywał Petrarka i Vaucluse któréj skały i drzewa powtarzają imie Laury.

„ Cóż ci nareszcie powiem? Wszystko naokoło mnie rozwija wspaniałe przyrodzenie, które mnie otacza swym urokiem, zaślepia po-

tokami światła i sprzecznościami... pod mojemi nogami podnosi się miasto Włoskie, niezmierny labirynt z ulicami ciasnemi przykrytemi płótnem białem i z firankami winnej latorośli, przy moich nogach, pałac papieżów, ogromny zabytek gotycki, który przypomina dotąd możność wychodców rzymskich, gdzie świetniał zbytek książąt kościelnych, i gdzie się odbywały wszelkie okropności inkwizycji, obszerna budowla, w któréj kładziono na szalę przeznaczeniu królów, gdzie berło zniżało się przed tjarą papiezką; gdzie tortury przymuszały do wiary, ogromny stos kamieni ciążący nad niezliczoną liczbą podziemnych więzień których wilgotne mury są pokryte wyrokami śmierci.

— Od dni czterech żyję tylko w odległych wiekach, w tém mieście pamiątek teraźniejszość jest niczém, tak przeszłość jest widoczną.

— Tu się znajdują w całości wieki średnie ze swemi pomnikami, obrzędami, świętemi, obrzędami Boga-Rodzicy, pokutnikami w różnych

kolorach, powiedziałabyś że lud dzisiejszy nie-znajdował się wczoraj w Avinjonie, i że jeszcze wczoraj wspaniały orszak Ojca świętego przechodził kręte ulice tego starożytnego grodu, dotąd napełnione zapachem wonnych kadzideł processji, dotąd mające ślady mnichów żebrzących...

Moje pióro i ołówki są jedynemi tłumaczami mych myśli, a papier mym jedynym powiernikiem. Jest to bardzo smutną rzeczą nie mieć nikogo komuby można powierzyć swe myśli, i udzielić swych uczuć. Gdybyś droga matko była przy mnie, mój wzrok mniéj obojętnie przebiegałby mnóstwo szczegółów które pomijam w nadziei skrócenia o dni kilka mojéj podróży ażebym prędzéj do ciebie powrócił... Rozkosze najżywsze tępieją jeśli nie są podzielone. W Lyonie byłem zupełnie innym, miałem kogoś co mnie pojmował, zgadywał moje myśli i którego nie raz obojętność podniecała mój zapał. Osobliwie wieczorem, czuję że tęsknota gorę nade mną bierze, i dla uniknienia jéj idę spać z zachodem

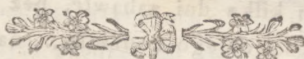
słońca; przeciwnie w Lyonie, północy często doczekaliśmy się przypominając sobie wszystkie zaszłe okoliczności i układając projekta na dzień następujący. Czy uwierzysz żem szczerze pragnął aby przypadek sprowadził tego cudzoziemca do Avinjonu, że powodowany żądzą której doświadczałem, chodziłem wczoraj oczekiwać na przybycie statku parowego w nadziei że go tam znajdę...Cóżbym mu powiedział? Prawdziwie sam nie wiem,

„ Jutro z rana odjeżdżam do Arles, mój nieznajomy tam mieszka, ja go zapewne nie będę szukał, ale za wszystko w świecie nie podjąłbym się tam kilka dni zabawić, bez zasięgnienia wiadomości o jego rodzinie... nadewszystko o jego siostrze!... Może już umarła ta biedna dziewczyna!... Nie pojmuję przyczyny która mogła nakłonić p. de Lerme do opuszczania swéj matki i siostry w podobnéj chwili: w téj mierze był bardzo skrytym, pomimo pytań które mu zadawałem a które mogły mu się zdawać niegrzeczne... Najpierwsze kroki moje za przyjazdem do Arles obrócę na pocztę gdzie się

spodziewam zastać list od ciebie, gdybym był wiedział że tak długo zabawię w Avinjon posiadałbym już ten list którego niecierpliwie oczekuje.

Miałbym ci jeszcze wiele rzeczy do powiedzenia, ale godzina poczty nadchodzi a zwłaszcza że nie mógłbym i jednego słowa umieścić więcéj na moim liście, nie pozostaje mi miejsca jak tylko do przesłania ci tysiącznych pocałowań.

Adolf Jouani.



Tajemnica.

VIII.

Podług danego swojéjmatce przyrzeczenia, Adolf przybywszy do Arles, udał się śpiesznie na pocztę, nie było żadnego do niego listu! powrócił ztamtąd bardzo smutny, mówiąc do siebie: do jutra! ale nazajutrz tenże sam zawód... Dwa dni tak przeszło... najżywsza niespokojność go opanowała... już myślał o sposobie najprędszego powrotu do Paryża, gdy nakoniec list tak niecierpliwie oczekiwany został mu oddanym; ním jeszcze wyszedł z bióra pocztowego już go rozpieczętował... jakież było jego zadziwienie! nie zawierał tylko kilka wier-

szy napisanych na prędce i inny list starannie opieczętowany, z napisem:

Do pani Marcelle, wdowy.
Na kępie de la Camargue... niedaleko Arles

W liście służącym za kopertę, pani Jouani pisała do swego syna:

— Mój Adolfie!

„ Nie dobrześ zrobił opuszczając cudzoziemca któregoś spotkał w Lyonie, może to być przyjaciel bardzo szacunku godny, od któregoś uciekł tak porywczo... zapewne zastaniesz go w Arles... oddasz list załączony do kogo jest pisany.

„ Bywaj zdrów, twoja matka, wdowa Jouani...

Wrażenie jakie uczyniło na Adolfie te kilka wyrazów, nie podobnem jest do opisania; śpieszył się nie wiedząc bardzo dla czego, powrócić do domu zajezdnego w którym stanął, zamknął się w swym pokoju, i z dziesięć razy odczytał tajemnicze wyrazy...

Któż to mógł donieść pani Jouani że on opuścił p. de Lerme w Lyonie? więcéj niż trzech dni potrzebował list jego aby doszedł rąk matki, a drugie tyle do odebrania nań odpowiedzi. Trzy dni zaledwie upłynęło, a potem ta niechęć którą mu matka wynurza i nadzieja, mówiąc że go zapewne zastaniesz w Arles... A ów list tak dobrze opieczętowany, który poleca ażeby sam wręczył...

Jakaś tajemnica niedocieczona dla Adolfa zawiera się w tych dwóch papierach które ciągle trzyma drżącą ręką...

Wyjaśnienie znajduje się w tym który nie może odpieczętować, zgaduje że tam być musi ale go nie odpieczętuje!...

Starać się będziemy w krótkich słowach objawić jakie były jego myśli. A więc się nie pomylił, jego spotkanie z p. de Lerme nie było przypadkowem. Ta podróż przedsiewzięta z czystéj chęci artysty, miała swą tajną pobudkę którą jego matka przed nim zataiła, teraz to sobie przypomina że sama podniecała jego ochotę do podróżowania, dodawała mu

serca, że sama przepisała trakt którym miał jechać, wyznaczyła dzień odjazdu... może być że ona sama nakłoniła p. de Lerme aby się z nim spotkał, ale dla czego?... niespokojność Adolfa pomnożyła się jeszcze bardziéj tém zapytaniem, które sobie nadaremnie czyni... mnóstwo domysłów przez myśl mu przechodzi, odrzuca je jako niedorzeczne, a wszelako nie może już dłużéj powątpiewać że stał się ofiarą intrygi wiadoméj jego matce, a któréj Edward jest główną sprężyną... Nie kto inny zapewne tylko on doniósł do Paryża o jego odjeździe z Lyonu... ale dla czego? dla czego?... ten list adressowany do jakiéjś pani na kępie de la Camargue, blisko Arles, miasta w którem mieszka de Lerme, mógłby mu to wyjawić... Ale to by było urazić matkę, gwałtem dowiadując się tajemnicy o któréj niezwłocznie się zapewnie dowie, rzuca daleko od siebie list do pani Marcele, aby go nie wzięła chętka odpieczętowania... Otwiera walizę i w kilku chwilach przebiera się, a potém wychodzi do Camargue.

Niezwykły ruch pospólstwa wstrzymuje kroki Adolfa w ciasnych ulicach miasta Arles; dzwony S. Trofima głucho się odzywają, przechodząc wedle tego kościoła, spostrzega przed nim wielką ciżbę ludu i oznaki pogrzebowe przy wejściu, Adolf się zatrzymuje, przejęty smutnem przeczuciem, ozdoby białego koloru porozwieszane przy głównych drzwiach S. Trofima, przywodzą mu pomimowolnie na pamięć siostrę Edwarda de Lerme, tajemnicze związki które istnieć mogą między nim a tą nieszczęsną rodziną, obawiać mu się każą czy przypadek nie sprowadził go do Arles właśnie aby był obecnym na pogrzebie téj młodéj panny któréj nie znał, w chwili gdy się pyta o imie zmarłéj, szmer powstaje w ulicy na plac wychodzącéj i śpiewy religijne dają się słyszeć, jest to orszak pogrzebowy który nadchodzi, cała świetność kościelna zwykle towarzysząca podobnym obchodom w południowych częściach Francji okazale przedstawia się, w dwóch długich szeregach rozdzielających ciżbę i już wchodzących pod sklepienia kościelne bractwo niewiast, młodych dziewcząt, sieroty

pod zarządem panien Miłosierdzia, przechodzą po kolei i poprzedzają duchowieństwo które towarzyszy karawanowi. Chociaż w ogromnéj ciżbie, Adolf jednakże poznał Edwarda de Lerme. Wtenczas opuścił szpaler zapatrujących się gdzie stał nieporuszony, i zamięszał się z temi którzy postępowali za pogrzebem, jakiś głos wewnętrzny, nakazujący, jakby rozkaz powinności, przemawia do niego, że nie powinien należeć do tych których tylko sama ciekawość tam przywiodła... Zdaleka się znajduje od Edwarda. Nie jest jego życzeniem aby go tamten zobaczył, nie dla tego by był przez niego poznanym, oddaje się modlitwom kościelnym, jest to uczucie religijne obudzone tajemnicą jego położenia osobistego, ktore go do tego zagrzewa i nad nim panuje.

Zaproszeni na ten obrząd mieszczą się przed wielkim ołtarzem, bractwa i cechy w pośrodku świątyni gdzie Jouani klęczy, obok niego znajdują się młode panny ubrane w bieli i pomięszane z mnóstwem ludu który się za nimi do kościoła wcisnął.

Gdy się odprawiły obrzędy pogrzebowe, daje się słyszeć lekki wykrzyknik zadziwienia, Adolf podniósł oczy, jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem świeżéj i ładnej panienki któréj ręka trzymała jeszcze podniesioną zasłonę twarz jéj okrywającą, jéj zadziwienie, na pół otwarte usta, ciągłe zwrócenie uwagi na Adolfa, sprawiły że się zmięszał i spuścił na dół oczy, zawstydzony tą swoją nieśmiałością i z obawy aby się nie pomylił, podnosi je wkrótce, widzi że znowu młoda osoba w niego się wpatruje i mowi do ucha jakiejś kobiéty czarno ubranéj, która także uważa go ze szczegó nem wrażeniem. Widząc się celem skrytéj ciekawości tych dwóch nieznajomych, czuje że przerywają jego pobożne rozpamiętywania, przygotowany doświadczać coraz nowych, niespodzianych wypadków w tem mieście gdzie go sprowadziła jakaś niewidzialna ręka, chciałby się przybliżyć do owéj młodéj panienki i przemówić do niéj. Nakoniec ciekawy zapewnić się czy to istotnie do niego były obrócone tak częste spojrzenia, oddala się zwolna i niknie w ciżbie, potém staje za filarem z drugiéj strony kościoła, może je

ztamtąd widzieć bez obawy aby był od nich widziany, pomieszanie dwóch nieznajomych kobiet jest niezmierne, najżywsza niespokojność maluje się na ich twarzach i we wszystkich poruszeniach, Adolf domyśla się po kierunku ich wzroku że go nadaremnie szukają.

Dwie godziny tym sposobem upływaja, a nie m że znaleźć wytłómaczenia téj nowéj zagadki, orszak pogrzebowy wychodzi, Adolf wyszedł z kościoła jeden z pierwszych, chęć zobaczenia młodéj panienki zatrzymuje go przed drzwiami, napróżno oczekuje, wszystkie kobiety pospuszczały swe zasłony i jego oczy nie mogą jéj poznać. Nadto zanurzony w swych myślach aby mógł widzieć gdzie się znajduje i wziąść dobry kierunek swéj drogi, Jouani błądzi po krętych uliczkach starego miasta. .. Ale co mu to szkodzi, Arles przecież nie jest tak wielkiem miastem jak Paryż, i pewien jest że w prędkim czasie może dojść do Rodanu, wie że jak tylko most przejdzie znajdzie się na drodze do kępy de la Camargue.

Ale nie mógł on tam tak prędko przybyć jak się spodziewał, potężna władza zatrzymała go

w drodze, starożytności które napotykał tu i owdzie obudziły powoli zapał artysty, kiedy zobaczył amfiteatr dawnych Rzymian, tajemnicze spojrzenia młodéj dziewczyny w kościele, list pod adresem pani Marcele, a nawet Edward de Lerme, zatarły się zupełnie w jego pamięci, o wszystkiem zapomniał...

Wychodząc z tego olbrzymiego gmachu z zadziwieniem spostrzegł że już dzień był na schyłku a zatém nadto późno byłoby dziś odnosić pismo sobie powierzone, odkłada tę czynność na jutro i powraca do swego mieszkania. Nie pójdziemy za nim, gdyż ważne powody powołują nas na kępę de la Camargue. Łzy których zgon siostry Edwarda był przyczyną, oschły na oczach matki Marcele i jéj córki, jakby za czarodziejskim znakiem, a jednakże obiedwie dopiero co powróciły na folwark i ubrane są dotąd w żałobie: Marcele ma na sobie suknię wełnianą czarną a Cecylja swą zasłonę białą, ale obiedwie zdają się być zaprzątnione inném wspomnieniem i wcale odmienną myślą. Pani Marcele krząta się nie mó-

wiąc ani słowa do córki, nie chcąc odpowiadać na tysiąc zapytań które ta jéj czyni... W niedostatku odpowiedzi, oblicze staréj gospodyni przemawia i zdradza tajemnicę którą jéj usta upornie zamilczają; wzrok młodéj dziewczyny czyta w jéj twarzy wiele rzeczy których nie pojmuje, ale które mącą jéj umysł i sprawują spieszne bicie serca, tak jak biło gdy się wpatrywała w tego młodego cudzoziemca tak podobnego do portretu tyle razy przez nią podziwianego.

P. Marcelle wydała rozkazy swoim służącym ale Cecylja nie zrozumiała ich chociaż je słyszała. Idzie o przygotowanie pokoju zwanego muzeum domowe...Dla kogóż te grzygotowania, to łóżko, te sprzęty które już wnoszą na gorę ciasnemi schodami? kogoż więc się spodziewają?

P. Marcelle zadaje sobie wiele trudu do którego nie nawykła. Ona, która ustawicznie wydaje rozkazy a sama niczego się nie dotknie, wykonywa część poleceń przez siebie danych. Cecylja, w nadziei aby pochwycić choć cząstkę tajemnicy którą przed nią ukrywają, prędko

pobiegła się rozebrać i jeszcze prędzéj wróciła dla dopomożenia matce w tych skrytych przygotowaniach. Idzie na górę niosąc w ręku krzesło przeznaczone do sprzętów umeblowania gościnnego pokoiku, podług dawnego swego zwyczaju spogląda na zawieszony nad kominkiem portret...już go tam nie ma!

—Któż to zdiął portret? zawołała rzgniewanym tonem.

—Mniejsza o to! odpowiedziała jéj matka wchodząca prawie zaraz za nią, pocóżeś tu przyszła?

Bardziéj jeszcze zagniewana i dąsająca się jak zepsute dziecko, powoli schodzi na dół po drewnianych schodach które pod nogami skrzypią. Zasiada w wielkiém krześle, łzy jéj się w oczach kręcą, ale to są łzy z gniewu pochodzące, bo, zmartwienia nie ma żadnego, coś tajemniczego jakby jakieś przeczucie mówi jéj że oczekują na folwarku tego o którym tak często myślała, którego dzisiaj widziała w kościele Sgo Trofima, niezawodnie to on! nie może dłużéj o tem powątpiewać! lubo matka nic nie mówiła gdy jéj go pokazała, ale spostrzegła

zadziwienie w jéj twarzy, a potem te przygotowania! O! jego to oczekują! zawołała podnosząc się z krzesła. Lecz znowu rzuca się na nie nagle, posłyszawszy głos swéj matki, gdyż chce okazać iż jest dotkniętą jéj skrytością i porywczem wypędzeniem z muzeum..., Pani Marcelle nie daje wcale baczności na dąsy Cecylji, któréj niechęć się podwaja widząc się tak wzgardzoną.

Czas spiesznie upływa kiedy kto tak jest zatrudniony. Słońce miało się ku zachodowi i chociaż pani domu już z dziesięć razy chodziła do wielkich wrót, osoba tak gorąco oczekiwana nie przychodziła...

Niespokojność młodéj panienki nie była mniéj żywą jak niecierpliwość podeszłéj niewiasty, i jedna i druga niepojęte czyniły zabiegi aby wzajemnie zataić swoje myśli, wszelkiego usiłowania użyto aby sobie nadać pozorną spokojność.—Ale tak przykre położenie nie mogło długo trwać między niemi. Cecylja nadto nawykła być powiernicą swéj matki aby mogła dłużéj wytrzymać chętkę jakiéj doznawała wypytywania się, oprócz tego użyła do tego środka

który się jéj zawsze dobrze udawał; korzystając z chwili gdy pani Marcelle usiadła w wielkiéj sali przy oknie... zbliżyła się ku niéj na palcach, rzuciła swe ręce na szyję matki i rzekła cicho do ucha „kogóż się więc spodziewasz tego wieczora?...

Pani Marcelle nie mogła się wstrzymać od śmiechu i odpowiedziała.

Na cóżby ci się to zdało gdybym ci nawet powiedziała... kiedy wcale nie znasz tej osoby.

— Odgadłam kto ona jest.

— Ach!... doprawdy.

—Jest to ten cudzoziemiec który tak jest podobnym do portretu któryś schowała.

— Gdyby i tak było?

— Więc to on!... zawołała Cecylja cała uradowana.

— Któż cię o tém zapewnia?

— Gdym ci go pokazała w kościele, widziałam dobrze w twych oczach radość i zdumienie, odtąd wszystko coś tylko wymowiła, coś robiła, potwierdziło mnie w tym moim do-

myśle, nieprawda że portret tego obcego młodzieńca był tam na górze?

— Ciekawość jest bardzo brzydką wadą, Cesiu!...

— Jest to bardzo naturalna ciekawość, czyż nie widziałam także jak cię zajmowało to malowidło, i radość jakiéj doznałaś poznawszy tego którego wyobrażało.

— Jesteśże pewną że cię twoje oczy nie omyliły?

— Musiały cię więc i twoje omylić!

— Cecyljo! jesteś nieznośna.

Te kilka słów zgubiły się pomiędzy dwoma lub trzema pocałowaniami danemi i oddanemi prawie zaraz, zapewniona o wygranéj, młoda dziewczyna pytała dalej:

—Czy on jest nasz krewny?

— Nie!...

— Może przyjaciel nieboszczyka mojego ojca?

— Wcale nie!

—Czy już tu był kiedy na folwarku?

—Nigdy!...

— Wszakże go znałaś?

— Tylko z nazwiska!...

—Jakże się nazywa?

— Dowiesz się o tém późniéj...

Cecylja była gotowa znowu się gniewać na swą matkę, ale pomyślała bardzo mądrze że więcéj może na tem stracić jak zyskać, uwzięła się tedy śmiać lubo byuajmniéj do tego nie miała chęci.

— O! co za tajemnica! szeptała sobie kiwając głową.

— Tak jest moja córko, jest to tajemnica która do mnie całkowicie nie należy, zostawiam czasowi i okolicznościom abyś była uwiadomioną o tém co tak niecierpliwie pragniesz wiedzieć; wierzaj mi tylko że wiele mi zadasz przykrości jeżeli mnie dłużéj wypytywać będziesz. — Poważny ton jaki przybrała wstrzymał dwadzieścia przynajmniéj zapytań na ustach jéj córki, która wzruszonym głosem wymówiła po cichu przeproszenie, i tego pani Marcelle nie dała jéj dokończyć.

— Tyś mnie nie obraziła!... i twoja ciekawość jest bardzo naturalną, ale posłuchaj mnie, ten którego się spodziewam ma prawo do na-

szego uszanowania, ty jesteś bardzo młodą, Cesiu, lubisz się bardzo śmiać i żartować i gdybym cię o tem nie przestrzegła, obawiałabym się abyś się z nim nie obchodziła z tą poufałością, tą płochością młodéj dziewczyny, z któréj się nie myślisz poprawić, dobrze pamiętaj że on daleko więcéj znaczy od ciebie i ode mnie!... Wzrok pani Marcelle spoczywał na Cecylji, dając jej tę przestrogę zawierającą więcéj jak jedną myśl.

— Oh! niech się mama nie boi, starać się będę aby tu wszyscy dla niego zachowywali względy na jakie zasługuje... Ale on musi być bardzo bogaty, bardzo znakomity?

— Znowu zapytania!

— W rzeczy saméj, jeśli się nie dowiem kto on jest, jakże będę wiedziała co mu trzeba powiedzieć?

— Tak będziesz z nim rozmawiać jak rozmawiasz z panem de Lerme.

— Dobrze mamo...

Cecylja była bardzo smutna dając taką odpowiedź, przychodziły jéj w téj chwili do głowy rzeczy o których nigdy ani pomyślała.....

spuściła oczy oddaliła się powoli od swéj matki i weszła do ogrodu przyległego folwarkowi; tam mogła marzyć dowoli, otém co powiedziała pani Marcelle, a co istotnie objawiło młodéj dziewczynie tajemnicę jéj serca.

Noc ją zaskoczyła siedzącą na ławce, i pani Marcele odeszła od okna, gdyż już nie mogła dojrzeć drogi do Trinquetaille.

Ten, o którym jedna myślała, a którego druga oczekiwała nadaremnie, nie przybył do folwarku aż dopiero nazajutrz.



ZASŁONA SIĘ PODNOSI.

IX.

Pani Marcelle mało co spała przez tę noc oczekiwania. Cecylja męczyła się ze swemi myślami młodéj dziewczyny, a Adolf napastowany przez nadmorskie komary, stał się łupem wszelkich dziwactw które bezsenność sprowadza; ujrzeli wszystko troje dzień nadchodzący z równą radością... ten dzień który się zaczyna ma wyjaśnić tyle rzeczy! przynajmniéj spodziewają się tego.

A zdaje się że niebo uwzięło się złośliwie aby zniszczyć nadzieję którą powzięli: od trzech miesięcy nie upadła ani jedną kropla wody, a

tego pożądanego dnia pani Marcelle i Cecylja otwierając okno ujrzały z przestrachem niebiosa okryte gęstemi chmurami; wicher dął od nabrzeżów morskich, ptaki wodne dawały słyszeć zło-wieszczbne głosy, jaskółki latały ponad samą ziemią, wierzchołki drzew naginał wiatr wilgotny.

Szerokie krople wody padają na rękę Cecylji już nie można i wątpić że burza wkrótce nastąpi, kto wie czy się rozejdzie dość wcześnie aby nie przeszkodziła cudzoziemcowi do przybycia?

Zupełnie przeciwnie, Adolf się cieszy z odmiany która nastąpiła w powietrzu. Może dzisiaj będę mógł wolniej oddychać, rzecze do siebie czując deszcz z wiatrem odbijający się o twarz swoją.

O godzinie dziesiątéj, nawałność się oddaliła, nie pozostało na niebie tylko kilka lekkich obłoków które wiatr pędził ku północy, a na drodze kilka małych kałuży wody, z których

słońce i ziemia zabrały swe części, Cecylja z matką błogosławiły słońce, które z całego serca przeklinał Adolf.

Już było po godzinie piątéj z południa, gdy jeden z parobków przybył i powiedział gospodyni kilka słów po cichu. Serce Cecylji wzruszyło się gwałtownie w jéj piersiach, lica okrył szkarłatny rumieniec, odgadła ona nowinę którą przyniósł matce wieśniak.

„To on, mówiła sobie cicho, nim jeszcze spostrzegła Adolfa przechodzącego wielkie wrota podwórza... To jest on istotnie! zawołała pani Marcelle spostrzegając go.„

Ogromny pies, stróż folwarczny rzucił się szczekając naprzeciw Adolfa, cała zgraja drobiu skrzydlatego na sadzawce i w ptaszarni, trzepotała skrzydłami uciekając przed grzmiącym głosem Cezara objawiającego przybycie cudzoziemca. Kiedy zewnątrz domu przywitanie było głośne, przygotowywało się bardzo ciche wewnątrz, gdyż gospodyni dostała drżenia odejmującego jéj siłę wyjścia naprzeciw swego gościa, nagle zaćmiło się w oczach Cecylji... ani

jedna ani druga nie pomyślały o uwolnieniu go od niegrzecznego i rozgniewanego psa, który go z zapalczywością ścigał. Ale nareszcie Cecylja wybiegła na ganek, wołając: Tutaj! Cezar! tutaj!...

To poruszenie, natchnione bojaźnią niebezpieczeństwa które mogło zagrażać cudzoziemcowi powróciło przytomność umysłu pani domu; odsunęła z lekka Cecylję, i postąpiła kilka kroków naprzeciw Adolfa. Ten za pierwszym rzutem oka, poznał młodą panienkę widzianą w kościele. Ale nie była to chwila czynienia uwag nad tem nowem spotkaniem; domyślał się że przybył do miejsca gdzie wiele tajemnic samo przez się zostanie wytłómaczonych. Lekko przebył trzy wschody oddzielające go od pani Marcelle i podał jéj list mówiąc:

— Czy z panią Marcelle mam szczęście mówić?

— Do usług pana — odpowiedziała, oddając grzeczny ukłon Adolfowi. Ukłon młodéj Cesi był mniéj uniżony, ale bardziéj uprzejmy..... Chociaż Adolf spodziewał się widzieć rzeczy nie

spodziane, dziwił się wszelako że był przedmiotem takiego uszanowania i względności, każdy się uwijał około niego: Sama gospodyni zapomniała listu odpieczętować, spiesząc się podać mu krzesło, służąca ustawiła na okrągłym stoliczku napoje chłodzące używane w południowéj Francji i najprzedniejsze owoce! Inna nakrywała stół bielizną jak śnieg białą, Cecylja kręciła się od jednéj do drugiéj i powtarzała swój uprzejmy ukłon ile razy przed nim przechodziła. Kiedy wszystkie te przygotowania się skończyły, pani Marcelle dała znak aby wszyscy wyszli, nawet i córka. Cecylja zmarszczyła trochę czoło, co nie uszło uwagi Adolfa, ile razy się na bok obejrzał zawsze pokryjomu na nią spoglądał. . Tak była żywą! tak ładną!... A wreszcie musiał przecież o czem myśléć, podczas tego ustawicznego kręcenia się którego był przedmiotem, a potem oczekiwał odpowiedzi na list a pani domu dotąd go nie odpieczętowała.

Nakoniec zostali sami.

Serce młodego człowieka biło gwałtownie... był w oczekiwaniu uroczystej sceny, pomieszanie i kłopot pani Marcelle wyraźnie to zapowiada...

ły. Zdawało się jakoby odzyskała zupełną spokojność widząc oddalających się natrętnych świadków, potem kiedy drzwi zostały dobrze zamknięte prędko się przysunęła i zarzucając swe ręce na szyję Adolfa i całując go w czoło po kilkakroć razy, wyrzekła okazując najżywszą radość.

—Już jest temu lat ośmnaście jakem cię tak jak teraz nie uściskała moje kochane dziecię!

Adolf osłupiały zbladł i przebąknął kilka słów niezrozumiałych, znajdując się w objęciu téj podeszłéj niewiasty wpatrującéj się w niego z tkliwością prawie macierzyńską. Jedna myśl szybka jak błyskawiza uderzyła jego uwagę, słysząc że te stara kobieta nazywała go dziecięciem, ona którą rozumiał że pierwszy raz ogląda. Pomimowolnie odsunął ją od siebie jak gdyby chciał odepchnąć tę myśl.

—Niech się pani wytłómaczy, wyrzekł nakoniec, dość wyraźnie aby go pani Mazcelle zrozumiała.

O, to jest bardzo łatwo, odrzekła, jest lat ośmnaście jakeś się z tego domu oddalił, miałeś

dopiero lat cztary kiedym cię oddała twojéj matce...zapomniałeś przez tak długi pdzeciąg czasu o téj która cię swemi piersiami wykarmiła, ale ona o tobie nie zapomniała, oh! nie bynajmniéj!...

W ówczas Jouani oddał z całego serca pocałowanie które odebrał od poczciwéj niewiasty, jéj pieszczoty, poufałość serdecznych wyrażeń, wszystko zostało wytłómaczone, oprócz tylko przyczyny dla któréj krok zdający mu się z pozoru tak uaturalnym, miał być ukrywanym i tajenym.

—To ci się bardzo dziwno zdawać musi, że jedna stara wieśuiaczka o któréj istnieniu nawet nie wiedziałeś, tyle sobie z tobą dozwala poufałości. Ale uważ moje drogie dziecię, iż ujmuję ciężaru mojemu sercu który dzwigało od czasu jakeś tu przybył, nagradzam sobie ośmnaście lat tęsknoty przez które cię nie widziałem, gdyż także jest matką ta co swem mlekiem cię karmiła, na swojem wypielęgnowała łonie, na swoich ręku wychowała, i że jest pozwolono mamce poufale uściskać i ucałować swego wychowańca, zwłaszcza kiedy nikogo nie ma przy-

łomnego, nie prawdaż? Ale się nie obawiaj, jak tylko mą radość uspokoję, nie będę cię tak poufale nazywać.

— Dla czego? zawołał zdziwiony Adolf.

— Ponieważ muszę się z tobą jak z obcym obchodzić w obliczu innych. Twoje własne dobro, a może i twoje bezpieczeństwo tego wymaga. Jest to tajemnica która wkrótce ci zostanie objawioną.

— Tajemnica! poszepnął, a list méj matki, niechże go pani przeczyta.

— Prawda, biedna kobieta! domyślam się naprzód o czém do mnie pisze. Oh! Bóg jest sprawiedliwy, gotuje jéj słodką nagrodę za tyle dolegliwości które wytrzymała.

Podczas gdy pani Marcelle łamała pieczątkę listu, Adolf słuchał z coraz żywszem zajęciem wyrazów które ona sama do siebie mówiła myśląc o pani Jouani, a kiedy rozpoczęła czytanie wpatrywał się niespokojnie w jej rysy gdzie się malowały rozmaite uczucia, zobaczył że się nagle zatrzymała.

— Do mnie jest tylko kilka wierszy; reszta listu należy do pana.

— Do mnie! zawoła Adolf, nie uważając zmienienia tonu jaki nastąpił w wyrażeniu się pani Marcelle.

— Tak jest, czytaj pan, rzecze podając mu list.

A młody człowiek czytał z rozczuleniem co do niego pisała matka:

„Czytając ten list znajdziesz się u celu do którego chciałam cię doprowadzić: Bóg reszty dokona. O! mój Adolfie, mój synu, kilka dni jeszcze a poznasz wszystkie tajemnice którem dotąd przed tobą ukrywała, tajemnice którychbym ci nigdy nie wyjawiła, gdyby nadzieja widzenia cię kiedyś szczęśliwym nie zstąpiła z niebios i nie kazała mi rozłączyć się z tobą dla zaprowadzenia cię pomimo twej wiedzy na miejsca które ja także kiedyś może zobaczą... Jesteś w domu pani Marcelle, pozostań tam póki cię nie przywołam znowu do siebie, spodziewam się że nie dam ci tego rozkazu, prędzej może sama tam do ciebie przybędę, od téj chwili czcij i kochaj poczciwą Marcelle, wiesz czem

była dla ciebie, ale ona ci wszystkiego nie powie, do mnie należy wszystko ci wyjaśnić. Odbierzesz ode mnie wszystkie moje poufałe zwierzenia, nie długo ich będziesz oczekiwał... Bywaj zdrów...„.

Co przeczytawszy Adolf stał zatopiony w swych myślach póki p. Marcelle do niego nie przemówiła.

— Bardzo panią przepraszam, rzekł przebudzając się ze swego zadumienia, muszę się dorozumiewać po tém co moja matka pisze żeś nie tylko mnie swemi piersiami wykarmiła, nie wiem jeszcze dotąd jakie ci winnem dobrodziejstwa, ale przestaję na słowie mojéj matki, i moje serce jest przejęte dla ciebie więcej jak wdzięcznością.

— Co tam, co tam, musiała coś wyjawić czego się była strzedz powinna. Ale nie idzie tu o to: chodź ze mną żebym ci pokazała wszystkie miejsca któreś dawniéj na tym folwarku znał bardzo dobrze.

Podała rękę Adolfowi i wyprowadziła go na ganek. Młody człowiek wstrzymać się nie mógł od serdecznego uściśnienia jéj ręki.

— Widzisz tę sadzawkę w pośród podwórza, ta kiedyś sprawiała ci najżywszą radość, przodkowie tego drobiu byli twemi przyjaciołmi; znali cię i zbiegali się na twój głos. Byłeś jak książe szczęśliwy kiedyś drobił twój chleb i rzucał tym kaczętom biegającym za tobą szeregami. Przypominam sobie kiedy chcąc im odebrać kawałek suchara z kukurydzy, wpadłeś pomiędzy nia a Djanna matka tego Cezara który cię to tak głośno przyjął, udusiła ich kilkanaście. Ach! jak też wtenczas wyglądałeś, miły Boże! ale nic tego uie pamiętasz...

Pokażę ci teraz jedną dawną twoją znajomą. biedne zwierze już jest bardzo stare, sześć lat miało wtenczas kiedyś wyjechał do Paryża, teraz ma dwadzieścia cztery!...

I pani Marcelle zaprowadziła Adolfa do stajni...

Otóż to jest ta biedna klacz która tyle razy nosiła cię w swoich koszykach, uradowana podówczas lekkim ciężarem który na nią wkładano była tak posłuszną na twoje krzyki, że z zadziwieniem wszyscy spoglądali na nią przecho-

dzącą po kępie, ale i tego już zapewne sobie nie przypominasz!

Pani Marcelle pokazała mu potem kurnik gdzie właził czołgając się szukać jaj, stodoły w których przewracał się na słomie, sad gdzie chodził zbierać owoce, mały ogródek zkąd wyrywał wszystkie kwiaty, mleczarnią w któréj często zajadał śmietanę, a w każdem miejscu, przy każdéj rzeczy którą mu pokazywała, powtarzała: tego już nie pamiętasz. Spojrzenia niespokojne i przenikliwe śledziły ich wszędzie gdzie się tylko obrócili, był to wzrok Cecy'ji szpiegujący ich kroki ze swego okna nieco zakrytego firanką.

— O! zgaduję, mówiła sama do siebie tę wielką tajemnicę, którą matka tak bardzo ukrywa przede mną. Pokazuje mu cały folwark z wszystkiemi szczegółami; niezawodnie ten jegomość chce kupić naszą majętność, to bardzo szkoda, pomyślała, on ma twarz bardzo białą i ręce nadto piękne aby został rolnikiem.

Nię pozostało pani Marcelle do pokazania Adolfowi tylko jeszcze jedna rzecz i dla tego poszli do wielkiéj sali, a ztamtąd do małego gabinetu przyległego pokojowi sypialnemu.

—To jest twoja kolebka panie, Jouani, po twoim odjeździe służyła także mojéj córce. — Jest to sprzęt który zachowuję z największém staraniem.

—Nie możesz sobie wystawić wszystkich rozkoszy które mi to łóżeczko przypomina, przyczyną jest że częstokroć mięszam wspomnienia twojego dziecińtwa z pamięcią o mojéj córce kiedy była niemowlęciem, przez lat cztery kołysałam cię, potém gdy moja córka przyszła na świat, położyłam ją w miejsce dziecięcia które utraciłam, to jest na twojem miejscu, zgoła że przepędziłam więcéj jak lat ośm kołysząc ten koszyk z sitowia, i to się stało dla mnie nałogiem, i bardzo przyjemném zatrudnieniem, tak dalece że często nucę jeszcze piosnkę którą was usypiałam oboje.

To przypomnienie przeszłości tak bardzo od niego oddalonej, rozrzewniło młodego artystę, czuł już dla pani Marcelle przywiązanie, prawdziwie synowskie, okoliczności którem mu przypomniała zatarły się w jego pamięci, ale serce mu mówiło że daleką była od odpowiadania rzeczy nieprawdziwych, i że jak to już list mat-

ki zapewniał, była dla niego jeszcze czemciś więcéj jak mamką. Wpośród tylu roztargnień zapominał spytać się pani domu o niewiadomą przyczynę przez którą poznany był w kościele....Głos Cecylji przywiódł mu to na pamięć ale odłożył zapytania do dalszego czasu, widząc wchodzącą młodą panienkę która musiała mieć ważną pobudkę do przełamania zakazu danego jéj od matki....

W rzeczy saméj:

—Mamo, Jan przyszedł, czeka na polecenie któreś mu dać miała, rzekła rumieniąc się cokolwiek, jej wzrok spotkał oczy Adolfa. Jak też jest podobny do swego portretu! pomyślała sobie mówiąc do matki która jéj odpowiedziała.

—Ach! prawda, jużem była zapomniała, panie Adolfie, proszę cię powiedz w którem miejscu znajdują się twoje rzeczy i napisz kilka słów aby je wydano.

—Ma imie Adolf! szepnęła Cecylja.

Młody człowiek stosując się do życzenia pani Marcelle przyjął tak szczerze zaproszenie sprowadzenia się do jéj domu, potem podał Ce-

cylji żądane pismo a ta pobiegła oddać je służącemu, ale biegnąc przez salę spojrzała ciekawie na podpis i oddaliła się powtarzając.

Adolf Jouani!...i nazwisko i imie bardzo ładne!...

W kwadrans potem, Adolf siedział przy stolo między matką i córką, nieśmiałość, któréj nie mógł pokonać z początku znikła słuchając młodéj panienki nie mogącéj się bynajmniéj poprawić z wady zasługującéj na napominanie matki, kolejno mówiła o rzeczach poważnych i o dziecińśtwach swojego wieku, wybierała najpiękniejsze owoce i podawała je Adolfowi, zrywała się potem z miejsca i rzucała się na szyję pani Mrrcelle, która robiła co mogła aby ją łajać, a kończyła zawsze na tem że się obiedwie razem śmiały, niebawnie grzeczna poufałość zamięszalu się pomiędzy trzema naszemi osobami, dzięki uprzejmości Cecylji i uleganiu matki....Pierwsza wstając od stołu rzekła cicho: nie prawdasz że byłam bardzo uprzejmą" a druga odpowiedziała. „byłaś warjatką!... Wieczór został poświęcony zwiedzeniu okolic. Ta-

przechadzka podobała się bardzo dwojgu młodym, chcieliby ją przedłużyć jeszcze, ale pani Marcele była bardzo znużoną.

Nie brakowało Adolfowi jak tylko żeby miał przy sobie swą matkę a nie byłby nigdy szczęśliwszym, nadzieja zobaczenia jéj wkrótce folwarku, przychylność prawdziwie macierzyńska jaką mu okazywała pani Marcelle, dowcip i wdzięki Cecylji, napawały go szczęściem którego nigdy żywiéj nie czuł; tajemniczy de Lerme należał także do tych słodkich myśli i Adolf mówił do siebie:

„Zapewne go nie długo zobaczę, i wszystko mi obiecuje że jego przeznaczenie jest z mojém połączone. Ale ten dzień skończyć się miał jeszcze żywszemi uczuciami i Adolf nie spał jak kilka tylko godzin pierwszéj nocy którą pzepędził na folwarku.

Służąca zaprowadziła go do przeznaczonego mu mieszkania i zostawiła samego...

Nigdy zadziwienie nie wyrównało temu jakiego doznał w tym pokoju którego ściany okryte były malowaniami; dwie jarzące świece pali-

ły się na kominku, możnaby powiedzieć że je tam postawiono umyślnie dla rzęsistego oświetlenia tego ciasnego miejsca, gdzie Adolf został odurzony podziwieniem, jego oczy przebiegały z najżywszą radością te wytworne szkice rozrzucone jakby trafem po murach, przy odkryciu każdego z nich, ciche wykrzyknienie wydobywało się z jego piersi, a uśmiech podziwienia poruszał wpół otwarte usta, potem drżącą ręką bierze jedną świecę i przybliża do tych tajemniczych malowideł wołając jak gdyby mógł być słyszanym: „O! to jest robota mojego ojca!“ Biega od jednego do drugiego obrazu, schyla się, wspina na palcach, oddala, przybliża dla doświadczania skutków światła i odosobnienia cieniów, poznaje wszystkie te przedmioty, i te krajobrazy, i te popiersia kobiece poznaje także... To jest portret jego matki, — ma ona wszystkie kopje tych malowideł w Paryżu w swym gabinecie. Jego więc ojciec musiał mieszkać w tym pokoju? Ojciec którego nie znał; jego to pędzel upiększał te sosnowe ściany i pozostawił ślad jenjuszu artysty, jenjuszu zgasłego zawczesnym zgonem

który jest jego jedyném dziedzictwem. O! niezawodnie trzeba było woli silnéj, tajemniczéj, może też to ostatnia wola jego ojca na łożu śmiertelném przywiodła go aż tutaj dla udzielenia ostatniéj iskierki sztuki.

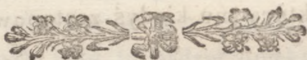
A więc i jego matka zamieszkiwała kiedyś w tym pokoju... Czyż te różne wizerunki przedstawiające jéj osobę nie świadczą o tem? Tam, to ubranie na głowę podług mody krajowéj, tu, te kwiaty południowe strojące jéj czarne włosy, ta twarz, płeć, oczy przypominające wdzięki najpiękniejszch kobiet miasta Arles, wszystko zapowiada Adolfowi że przybył do okolicy gdzie się spotkały te dwie istoty które mu dały życie, że tu się spełni jego przeznaczenie, iż poddać mu się powinien ze ślepém zaufaniem, gdyż z woli swéj matki tu przybył, i że ona go umieściła pod opieką Marcelle, która mu kiedyś zastępowała miejsce matki.

Obudzony ze swego zachwycenia, Jouani oddaje się słodkiemu dumaniu:

Edward de Lerme należy do wszelkich jego myśli; im bardziéj postępuje naprzód w taje-

mnicach otaczających go, tem więcéj się przekonywa iż to jest jedyna istota będąca wstanie mu dopomódz do odgadnienia téj zagadki któréjby tysiąc domysłów nie zdołało wytłómaczyć.

Na stoliku przy łóżku, stoi mała szkatułka machoniowa, któréj dotąd Adolf nie spostrzegł, nie postawiono jéj tam bez przyczyny, i zapewne zawiera jaką nową pobudkę do zadziwienia go. Pośpiesza ją otworzyć. Znajduje w niéj paczkę papierów... potém rozwiązawszy ją, serce jego drży z niepojętéj radości. Wszystkiego się teraz dowie, gdyż pierwszy wiersz który mu wpadł w oczy tak brzmi: „ Było moim obowiązkiem opowiedzieć ci kiedyś życie twojéj matki... Czytaj mój Adolfie. *)



(*) Osądziliśmy za rzecz przyzwoitą opowiedzieć po prostu w rozdziale następującym wszelkie zdarzenia opisane w listach które znajdowały się w skrzyneczce.

Dwie siostry.

X:

Niegdyś pewna rodzina szlachetna i można, mieszkała w zamku zwanym Bourg-neuf, (nowe miasteczko) na lewym brzegu Rodanu, blizko Arles. Książe de Clary był naczelnikiem tej rodziny która nie długo miała wygasnąć dla braku dziedzica płci męzkiéj, gdyż nie pozostawało tylko dwie córki w młodocianym wieku, w czasie kiedy się zaczęła burza rewolucyjna, która wypędziła szlachtę z ich majętności i ojczystego kraju.

De Clary, dość jeszcze młody, pobiegł stanąć w szeregach pod chorągwią królewską, która powiewała w prowincjach zachodnich. Tam się odznaczył swojém męztwem i ludzkością, otrzymał wysoki stopień w owém wojsku które niezgoda i zdrada zniszczyć miały; był jednym z ostatnich którzy walczyli i polegli za sprawę swych prawych królów.

Księżna de Clary, daleko od małżonka starsza, schroniła się ze swemi dwiema córkami w Wiedniu u siostry męża, staréj zakonnicy wypędzonéj ze swego klasztoru i szukającéj przytułku u dworu austryjackiego, gdzie gościnność szlachty niemieckiéj ją powołała. Tam księżna wychowała Ludwikę i Marję, jak osoby tak wysokiego rodu, w wyobrażeniach wielkości, które nadzieja prędkiego do Francji powrotu mogła upoważniać... Ale na wiadomość śmierci księcia de Clary, jako też klęski i zagłady hufców wandeńskich, zgryzoty ją opanowały i przyprowadziły do stanu bliskiego szaleństwa, w którym pozostała aż do swéj śmierci przypadłéj dopiero w pięć lat po powrocie do Francji. Ludwika zaledwie liczyła lat szesnaście i była

tylko o rok starszą od swéj siostry Marji, kiedy zostały odwiezione do Francji przez matkę i ciotkę. Cesarz Napoleon kazał im oddać dobra które rzeczpospolita nie była jeszcze sprzedała. Pomimo znacznego przychodu małą one miały wartość w porównaniu z témi które straciły, a które stały się łupem nabywców dóbr narodowych.

Ludwika zdawała się być roztropniejszą od swéj siostry Marji, młodéj dziewczyny, płochéj i wesołéj, a któréj rozum miał się dopiero rozwinąć w nieszczęściu. Ludwika żałowała znakomitości swéj rodziny, Marja mało o to dbała: pozostał im jeszcze wielki zwierzyniec, ogromny zamek, a to było jeszcze daleko więcéj niż ona żądała, Ludwika nie mogła się wstrzymać od płaczu przechodząc około majętności należących niegdyś do jéj ojca, a Marja śmiała się z jéj żalu, mówiąc: nasz zamek jest piękniejszy od tych chat, a nasz zwierzyniec jest daleko większy i lepiéj zacieniony jak te brzydkie pola na folwarku. Ludwika była pyszną i nieprzystępną, młodsza ze wszystkiemi się śmiała i była dla wszystkich dobrą i

grzeczną, jedna była dewotką prawie tak jak jéj ciotka, a druga poziewała i usypiała nad książką pobożną, pierwszą rozkazywala jak pani udzielna, a druga była jéj posłuszną nie zastanawiając się, na pierwsze słowo, na pierwsze skinienie, bez skrzywienia się i bez najmniejszéj niechęci.

Obiedwie były ładne, i tak do siebie podobne że je brano jednę za drugą, postawa poważna i dumna starszéj, uśmiech i wesołość młodszéj rozróżniały je tylko. Kochały się mimo różnicy ich charakteru, kochały się jak dwie siostry ktore są jedna dla drugiéj jedyną powiernicą wszelkich myśli. Potrzeba wynurzenia swego serca łagodziła humor pysznéj Ludwiki, która znajdowała w Marji przyjaciółkę uległą i wierną....Kobiety w jéj wieku mają tyle rzeczy do powierzania, snów do opowiadania, rzadko się udają do kobiet podeszłych gdyż młode doznając tychże samych wrażeń lepiéj je rozumieją. Marja pokazywała że pojmuje swą siostrę, chociaż prawie zawsze nic z tego nie było, jej serce było bardziej dziewicze niż serce Ludwiki, która zdawała się nic nie lubić.

Cały rok przeszedł na graniu na fortepianie modlitwach, kazaniach ich ciotki, na przechadzkach i towarzystwie kilku młodych panien, młodych dziedziczek z okolicy; nie zbywało dwóm siostrom na częstych zaprosinach, ale to był jedyny punkt w którym zastępująca miejsce matki ciotka okazywała się nader surową. Nie pozwalała ona bynajmniéj swym synowicom uczęszczać ani na bale ani na widowiska. ¿Bal, mawiała ona jest szkołą występku pośród rodziny, teatr zaś szkołą zgorszenia publicznego; uciechy natchnione przez złego ducha dla zguby małżeństw i młodych dziewcząt z duszą i ciałem....Marja posłuszną była temu rozkazowi bez żalu. Ale oprócz tego hrabina i jéj bratowa zostawiały im wszelką wolność. Całe dnie czasem upływały a podeszła dewotka nie wychodziła z kaplicy zamkowéj zwłaszcza w dnie postu a ciotka zakonnica pościła bardzo często, była to najprzyjemniejsza dla niéj pokuta, w rzeczy saméj bardzo mało jadała i może dla niéj była to najłatwiejsza kara do zniesienia. Po-

nieważ była z siebie bogatą i po niéj spadek przypadał z prawa na dwie synowice, coby podwoiło ich posag, Ludwika znosiła łagodnie wszelkie dziwactwa swéj ciotki, a Marja przeciwnie w owym czasie patrzała na to obojętnie.

Ludwike zachorowała a jéj siostra pielęgnowała ją jak najstaranniéj na krok nie odstępując, po ciężkiéj chorobie nastąpiło powolne wyzdrowienie, co nakłoniło lekarzy do poradzenia ażeby młoda panna przewiezioną została na kilka miesięcy do jakiego folwarku gdzieby mogła żyć samym tylko nabiałem i używać świeżego powietrza. Stosownie do téj rady Ludwika i Marja przeniosły się do folwarku pana Marcelle który żył jeszcze podówczas.

Folwark ten i przyległe należały do księcia de Clary, ojciec męża pani Marcelle kupił je prawie za nic, w owych błogich czasach sprzedaży dóbr narodowych i dzięki temu korzystnemu nabyciu pozostawił bogaty spadek swemu synowi. Ludwika właśnie dla tego okazywała bardzo wielki wstręt mieszkania w tym domu, że rewolucja wyzuła ją z owego dzie-

dzictwa; ale że to był folwark najzamożniéjszy i że nigdzie nie mogła miéć lepszéj wygody jako też przyjemniejszego pobytu, przystała na radę lekarza, pani Marcelle prócz tego usilnie domagała się mieć zaszczyt pielęgnowania u siebie choréj gdyż ona nie myślała tak jak jéj mąż, aby ta majętność była prawnie nabytą, i tuszyła sobie że tem żądaniem zmniejszy nieco wyrzuty które jéj sumienie czyniło. Stało się za dosyć jéj prożbie,i pan Marcelle który bardzo kochał swą żonę, a jeszcze bardziéj był jéj posłusznym, pokazał się gorliwym sługą téj która czasem zapominała o uprzejme gościnności któréj dawano dowody, a dobrze pamiętała że jej rodzina została pozbawioną nie prawnie swych majętności.

W kilka tygodni po sprowadzeniu się dwóch sióstr na folwark, przedstawił się tam jakiś jegomość który był jak najserdeczniéj przyjęty przez gospodarza. Był to jeden z dawnych jego braci oręża. Włoch który służył niegdyś w tym samym pułku co i Marcelle, w czasie naszych zwycięstw we Włoszech.

Daleko młodszy od p. Marcelle porzucił był

swoję pędzle i służył w wojsku francuzkiém. Odchodząc od pułku, z dymisją i drewnianą nogą, Marcelle, żegnając się z żalem ze swym kolegą, powiedział mu. „Jeżeli kiedy będziesz raniony, przyjdź do nas pokrzepić się i wyleczyć, a znajdziesz na folwarku mojego ojca, albo na mojém prawdziwego przyjaciela. „ Jakoż Włoch zostawszy rannym przebył Alpy i korzystał z zaproszęnia swego towarzysza.

Malarz Jouani był cięty szablą w głowę i dostał kulą w piersi. Te dwie rany już się zaczęły goić gdy przybył na folwark, ale był wolny, a chęć widzenia Francji i swego przyjaciela Marcelle przywiodła go na kępę de la Camargue.

Jouani był słusznego wzrostu, miał twarz piękną i szlachetną, rozum wykształcony, i sposób obejścia się odznaczający.

Jouani i Marcelle mogli się wydawać równemi w sukni wojskowéj, ale po cywilnemu, różnica była niezmierna i nie uszło to uwagi Marcella a spostrzegłszy to po uśmiechu mala-

rza gdy się przypatrywał jego wiejskiemu u. biorowi, rzekł:

— Nie tak dobrze wyglądam w spodniach manszestrowych i wełnianéj katance jak kiedyś w granatowym mundurze i białych czechczerach. Jednakże gdyby nie ta drewniana noga którą mi Austryjacy przysłali, chociaż ich o to nie prosiłem, miałbym zgrabniéjszą i zwinniejszą postawę.

Takie były myśli któremi się pocieszał Marcelle, widząc żartobliwy uśmiech swego kamrata.

Włoch rozgościł się na folwarku i wkrótce postrzegł że nie był jedynym jego mieszkańcem. Spotkał się pierwszego dnia kilka razy z Marją która biegała z pokoju swéj siostry do wielkiéj sali, a z sali do ogrodu i do mleczarni.

Pochwały które słyszał o czułości z jaką pielęgnowała swą chorą siostrę, a nadewszystko jéj uprzejme obchodzenie się zewszystkiemi, uczyniły głębokie wrażenie na sercu p. Jouani, który dni następnych szukał wszystkich sposobów zbliżenia się do niéj pod ro-

zmaitemi pozorami: Tych mu nie brakowało...

Marjo ze swéj strony także go uważała, a wrażenie jakiego doznała nie było mniéj żywém jak to które zrobiła na umyśle p. Jouani. Zarumieniona odkłoniła mu się po raz pierwszy rumieniąc się także odpowiedziała na pierwsze słowa które do niéj przemówił. Potém doniosła siostrze o jego obecności na folwarku: opisała jéj jak wyglądał, sposób obejścia się odznaczający, jego oczy czarne i łagodne, słowem z takiemi pochwałami o nim mówiła, że podniecila ciekawość choréj siostry, znalazła przedmiot do rozerwania jéj tęsknoty w téj rozmowie zupełnie dla niéj nowéj. Pan Marcelle, tegoż samego dnia prosił o pozwolenie dwóch siòstr przedstawienia im swego przyjaciela, mężnego żołnierza i szacownego malarza. Pozwolenie o które Jouani upraszał przez gospodarza domu zostało mu dane z wyraźną przyjemnością z jednéj, a z żywą ciekawością z drugiéj strony. W kilka chwil potem p. Marcelle przyprowadził Włocha do pokoju dwóch młodych panien.

Stara ciotka zezwalając na odjazd swych synowic, zaniedbała przeznaczyć im do towarzystwa jakiéj roztropnéj i statecznéj ochmistrzyni. Dodano im tylko garderobianę która wcale nie posiadała potrzebnych przymiotów do kierowania sercem i głowami dwóch młodych dziewcząt. Marcelle jako szczery żołnierz, w prostocie swego ducha nie wiedział coby mogło w tém być nieprzyzwoitego ażeby zezwolić na prośbę p. Jouani, wprowadzając go do mieszkania dwóch panien bawiących w jego domu. Ten pierwszy krok był zupełnie niewiadomym jego żonie, możeby mu się była sprzeciwiła, ale zapóżno się o nim dowiedziała, gdyż Jouani otrzymał już zezwolenie nieograniczone.

Byłoby dosyć trudno opowiedzieć co było wątkiem tej pierwszéj rozmowy, wszystko co grzeczność i zalotność mogą wynaleźć nie było zapomnianem ze strony młodego gościa. Mówił o Włoszech jak Włoch, p. Marcelle który wprawdzie był obecnym, nie potwierdzał zapału swego przyjaciela i wychwalał Prowancję. Ludwika mówiła o Austrji z wdzięcznością ja-

ką wzbudziła w niéj pamięć gościnności któréj tam doznała. Jouani wystawiał muzykę włoską. Ludwika ze swéj strony chwaliła niemiecką, a Marcelle dla pogodzenia obojga, dawał pierwszeństwo przed jedną i drugą farandolom krajowym, i symfonji flecika z bębenkiem.....Najgadatliwsza z dwóch siostr siedziała jak niema. Marja taka zwykle śmiejąca się, taka wesoła, jedwo kilka słów wyrzekła odpowiadając panu Jouani który ciągle do niéj zwracał swą mowę—ale zawsze Ludwika mu odpowiadała i na nią musiał dawać najwięcéj baczności, chociaż wcale nie dla niej tam przyszedł.

Jedna z przyczyn które przedłużyły te odwiedziny bardziéj niż się mógł tego spodziewać, była że Marcelle nie zapomniał oświadczyć iż był malarzem.

Jouani sprowadził był z miasta tego samego rana swoją tekę rysunkową, a gospodarz popierając co powiedział o jego talencie pobiegł po nią, i tym sposobem pozostawił je na kilka chwil same z gościem. Jouani korzystał z jego nieobecności dla otrzymania pozwolenia odwiedzenia niekiedy choréj.

Dla przerzucania kartek rysunkomych i przypatrywania im się z należytą uwagą, zbliżają się głowy, a czasem ręce się spotykają, to się właśnie zdarzyło młodemu Jouani i Marji, ale to tylko raz jeden, nadaremnie później ręka Włocha szukała drugi raz ręki młodéj panny nie spotkała jéj już więcej...

Nakoniec rozeszli się.

Spojrzenie chorėj było mniéj omdlałém, jéj lica mniéj blade po wyjściu p. Jouani, czyli to było zwiększenie gorączki które ją tak ożywiło albo dowód że go opuściła w pośród roztargnienia chwilowego? Ten ostatni domysł bardziéj jest do prawdy podobnym, przyjemność tak dla niéj nowa wynikła z rozmowy którą dowcip i najwyszukańsza grzeczność podsycały, wydała się jéj zachwycającą, po jednostajném towarzystwie matki i ciotki. Ale też pochwała którą od niéj pozyskał cudzoziemiec przewyższyła opisanie jego przymiotów skreślonych przez siostrę. Marja była prawie tak milczącą zostawszy sama z Ludwiką jak była przy p. Jouani, słuchała jéj tylko i bacznie to

wszystko uważała okazując nieco smutku, Ludwika możeby spostrzegła odmianę humoru swéj siostry, gdyby nie nadejście ciotki która dała inny popęd ich myślom.

Nazajutrz i dni następnych, Jouani nie omieszkał korzystać z udzielonego mu pozwolenia, wkrótce zawiązała się ścisła przyjaźń między trojgiem młodych, chora nabierała siły i wychodziła czasem z pokoju, oparta na swéj garderobiannie lub prowadzona przez młodego malarza, który nie chybił nigdy podać jéj swéj ręki... Bądź iż więcéj ufała siłe p. Jouani aniżeli swéj służącéj, daleko mocniéj się opierała na tegoż ręku, z pewném zaniedbaniem, na co on mało zważał — jego spojrzenia i uwaga zwrócone były ku Marji, idącéj o kilka kroków za nimi i coraz bardziéj zasmuconéj, na jednéj z tych przechadzek, postanowiono że malarz dawać będzie lekcje rysunków dwom siostrom. — Ludwika wymusiła na matce pozwolenie na ten układ, mówiąc że rozrywka wynikająca z téj nauki potrafi ją do reszty wyleczyć.

Żona pana Marcelle więcéj niż on mająca doświadczenia, widząc że Jouani osiedlał się na

folwarku aż do nieograniczonego czasu, osądziła że jego przesiadywania u Ludwiki i Marji inną miały pobudkę a nie litość jak powiadał nad cierpieniami choréj... Sledziła niespokojném okiem postępy które mógł czynić w sercu jednéj lub drugiéj i jéj naoczne badania przekonały ja że Ludwika wychodziła z jednéj choroby ażeby doświadczyć drugiéj daleko niebezpieczniejszéj — otworzyła oczy mężowi który dotąd nic uie widział lub też udawał że nic nie widzi, i wspomniała o odpowiedzialności jaka ciąży na ich sumieniu, w tych związkach których następstwo stać się mogło nieszczęsném dla jednéj z dwóch siostr, Marcelle obiecał się tą rzeczą szczerze zająć i odwołać do rozsądku samego Jouani, jeżeli go istotnie nie stracił. Czy dotrzymał on słowa swéj roztropnéj małżonce? tego nie jesteśmy w stanie zapewnić, wszakże lekcje rysunków rozpoczęły się i przesiadywania p. Jouani nie mniéj były częste.

Dwa miesiące tak upłynęły, Marja szybkie robiła postępy i wyprzedziła o wiele swą starszą siostrę, ale za to Ludwika widocznie

przychodziła do zdrowia i ciotka oświadczyła już swoją chęć ażeby synowice powróciły do zamku. Ludwika wynajdowała zawsze jakąś zwłokę, ale nakoniec wydano formalny rozkaz i musiała mu być posłuszną, w najkrótszym czasie.

Państwo Marcelle, ucieszyli się tém rozłączeniem które uwolniło ich sumienie od wszelkiego wyrzutu, spodziewali się że i Jouani nie omieszka także udać się w daleką podróż, nie mając więcéj żadnego powodu któryby się temu sprzeciwiał, a jednakże poczciwi ludzie mieli tylko podejrzenia uzasadnione na pozorach które mogły być mylnemi,...mieli oni słuszność a razem i mylili się....Marcelle był pierwszym który to spostrzegł przez swoją lekkomyślność.

Jouani wyszedł był bardzo rano z domu, Marja wstała tego dnia wcześniej jak zwykle i pan domu spotkał ją w ogrodzie...

—Muszę też pannie pokazać jedną rzecz, o któréj nikomu dotąd nie wspomniałem, a co poda jéj sposobność do osądzenia zdolności jéj

metra, bo panna jesteś biegłą w rysunkach i daleko nawet doskonalszą od swéj siostry jak mi powiadał sam Jouani, powiesz mi co też myślisz, proszę za mną iść cicho, gdyż moja żona jeszcze śpi a nie chcę żeby wiedziała co się robi na górze, chcę jéj tę niespodziankę na później zachować.

Marcelle zaprowadził Marję aż do pokoju w którym mieszkał Jouani i pokazał jéj malarskie roboty okrywające całe ściany któremi je teraz przyozdabiał. Ale wzrok Marji nie zwracał się tylko na niektóre, zaraz to zoczył gospodarz były one zupełnie świeżo robione.

— Ho! ho! wszakże to panny portret i prawdziwie że bardzo podobny, zbliża się co nieco w podobieństwie do jéj siostry oprócz tego tylko że twarz na portrecie nie jest tak chuda i blada jak jéj twarz, ale bo też to jest prawdziwy wizerunek panny nie można się pomylić!

Oddany cały tym postrzeżeniom przypatrywał się z uwagą portretowi i nie zważał pomieszania Marji, ale odwruciwszy się od malo-

widła i obracając ku niéj aby się jeszcze lepiéj przekonał o podobieństwie, spostrzegł łzy w oczach u młodéj dziewczyny: ,, Cóż to się pannie stało? zawołał z zadziwienie. ,, Jego zadziwienie podwoiło się gdy zamiast mu odpowiedzieć, Marja wyszła z pokoju i zbiegła prędko na dół po małych wschodach, Marcelle podrapał się w ucho chcąc odgadnąć co znaczyć miała ta ucieczka, nie potrzebował bardzo natężać swéj wyobraźni dla domyślenia się rzetelnéj prawdy. ,, To byłoby prawdziwie bardzo szczególną raeczą, poszepnął sobie, gdyby obiedwie siostry były w nim zakochane, moja żona dobrze mówi, czas już jest bardzo ażeby sobie od nas odjechały jak najprędzéj.‟

Nazajutrz Ludwika i Marja opuściły folwark a co zadziwiło Marcelle i jego małżonkę było to że Jouani nie okazał najmniejszego zmartwienia, równie jak i obiedwie panny, w dzień potem ta obojętność została im objaśnioną, gdy Jouani pokazał im zaproszenie pisane ręką księżnéj de Clary, w którym go prosiła ażeby nie przestawał i na dal dawać lekcji rysunków w zamku.

Spojrzeli tylko po sobie gospodarstwo, jakoby chcieli powiedzieć: niech się dzieje wola twoja panie! za nic więcéj nie jesteśmy odpowiedzialni.... Łatwo się domyślić że Jouani nie omieszkał się udać się tam gdzie go oczekiwano z niecierpliwością.

Jego miłość ku Marji nie mogła się długo ukrywać przed baczném i zazdrośném okiem Ludwiki: oraz powziąwszy to podejrzenie, nie potrzebowała długiego czasu aby się przekonać że była mu wzajemną. Duma jéj została obrażoną, myśląc że się zawiodła na przesiadywaniach młodego malarza i niewinności Marji. Zazdrość dręczyła jéj duszę tak dalece że się poddawała najgwałtowniejszéj rozpaczy, zwłaszcza kiedy była samą; ileż nie czyniła zabiegów aby się mogła wstrzymać w obec swéj siostry?....

Wstydząc się swojéj słabości, odniosła nad nią zwycięztwo i wszelkiego dołożyła starania aby ukryć swą miłość i wywiedzieć się o stosunkach zachodzących pomiędzy Marją i p. Jouani; postrzeżenia kilkodniowe przekonały ją że się nawzajem kochają; ale że Włoch nie odwa-

żył się dotąd z tém oświadczyć, obawiając się zapewne obrazić czystość, i niewinność młodéj dziewczyny.

Promyk nadziei ożywił serce Ludwiki, gdy się z pewnością o tém dowiedziała, postanowiła wziąść górę nad siostrą. Jéj garderobiana któréj nie lękała się zwierzyć i która sama nieodstępnie śledziła wszystkie kroki malarza, stała się jéj powiernicą i doradczyną. Lekcye się odbywały w gabinecie muzycznym, kształtny był to pawilon obok zamku i ocieniony otaczającemi go dużemi. Raz przybiegła służąca z rozkazem staréj ciotki po Marją która nie wahała się bynajmniéj być temu posłuszną.

Sama Ludwika zostawszy z p. Jouani użyła wszelkich środków któremi miłość i zalotność ją natchnęły. Porzucono lekcją rysunków jak się można domyślać, Ludwika posiadająca niezmierną wyższość w muzyce nad swoją siostrą i znająca gust Włocha, pobiegła do swéj harfy i zaśpiewała wiersze Metastazego z uczuciem które przebijało się w jéj oczach. Nigdy jeszcze Jouani nie słyszał ją śpiewającą, zawsze się wymawiała od tego pomimo nalegań siostry....

Zdziwiony zrazu tém dziwactwem został wnet omamiony, oczarowany, zgodnością harmonji i dzwięcznemi tony melodji instrumentu i głosu; te słowa miłości wymówione ustami Ludwiki, i w języku włoskim, sprawiły że serce mocno mu bić zaczęło.... Ona sama zdała mu się teraz piękniejszą, mając oczy w nią wlepione myślał o Marji i żałował jéj niższości którą ona sama tyle razy przyznała wychwalając talent Ludwiki. Muzyka wywiera potężną władzę na człowieka, to stworzenie tak mocne i tak słabe zarazem! Niepokonany urok przyciągał go coraz bliżéj do śpiewaczki, która liczyła po uderzeniach swego serca kroki które Włoch robił dla przysunienia się do niéj: jéj potęga pomnażała się w miarę zmniejszenia odległości; jéj głos stawał się świetniejszym i harmonja wydobywająca się z pod jéj palców była przyjemniejszą, w miarę jak spojrzenie malarza stawało się bardziéj wyraźnem. Zguba jego stawała się nieuchronną, postępował ku niéj, a za każdym krokiem Marja oddalała się od jego myśli.

Prawie nie spostrzegłszy się, tak blizko usiadł Ludwiki że ich głowy się dotykały. Jego ręka przypadkiem także oparta o krzesło obejmowała prawie kibić śpiewającéj, która zdawała się tego niespostrzegać. Jouani drzał jak gdyby mu zimno było, a to było wczasie najgorętszych upałów; miał usta suche którym brakowało powietrza, a wszelako liśćmi poruszał zefirek przenikający aż do pokoju. Krew Włocha napojona była żądzą; ale w jego sercu nie było miłości.

Ludwika nagle zatrzymała się i zbladła! Gdyby ją Jouani nie wstrzymał byłaby na posadzkę upadła; omdlała prawie na jego ręku... Nie wołał nikogo na ratunek; Ludwika odzyskała zmysły uroczym skutkiem pocałowania które uczuła na swych ustach... Objęła rękoma za szyję malarza oddając mu pocałowanie które ją do życia przywróciło.

Krzyk głośny który przeraził serce Włocha, rozległ się po pawilonie. Jakaś kobieta istotnie bez przytomności upadła przy progu drzwi. Była to Marja; ona wszystko widziała!

Jouani odepchnął Ludwikę, a szybki jak bły-

skawica pobiegł na ratunek Marji którą porwał na ręce i złożył na krześle. Jego serce było przejęte udręczeniem i miłością; uczucie którego przez chwilę doznał dla Ludwiki, zamieniło się w największą pogardę, na widok téj dziewczyny bladéj i z groźnym wzrokiem która stała przed siostrą ani na krok się nie ruszając aby ją ratować. Nakoniec rzekł:

— Zawołajże prędko kogo aby ją ratować.

— Wyjdź sam, odpowiedziała mu, wyjdź natychmiast! albo zwołam tu służących którzy cię z obelgą wypędzą.

Gniew bez granic opanował serce Ludwiki. Nie mogła się omylić widząc wyraz twarzy malarza, wszelka dla niéj nadzieja znikła: umierająca Marya odnosiła nad nią zwycięztwo, i nad wszystkiemi jéj zabiegami.

Nadto ważna przyczyna zatrzymywała go, aby miał uledz groźbom które pochodziły z zazdrości.... ale czuł że nie byłby wstanie znieść spojrzenia Marji i błagać jéj przebaczenia w obec Ludwiki, która z rękoma założonemi i ognistym wzrokiem, wpatrywała się w niego. Widząc powracającą do zmysłów Marją, odda-

lił się od krzesła i rzekł cichym do Ludwiki głosem.

— Jestem posłuszny... wychodzę, ale pamiętaj pani że masz do czynienia z Włochem i że najmniejsza uraza jakiéj się dopuścisz naprzeciw twéj siostry, wystawi cię na mój gniew... A wiesz dobrze żeś mi podała środki zemszczenia się...

Wyszedł potem z domu oddany ponuréj rozpaczy, i błąkał się po najciemniejszych zaroślach zwierzyńca. Nie powrócił już na folwark, ale najął sobie mieszkanie w mieście Arles, w domu najbliższym zamku.

Kobieta podchwycona w chwilę któréj się musi wstydzić, staje się nieprzebłaganą nieprzyjaciołką posiadającéj jej tajemnicę... zwłaszcza jeżeli ta co była jéj świadkiéj jest szczęśliwszą w miłości. Obrazę, podług swego mniemania, jaką jéj wyrządził Jouani, którego miłość dla Marji ocuciła się w jéj rękach wzburzyła całą jéj krew, twarz jéj stała się fioletową z gniewu i wstydu w obec Marji, która płakała i zasłaniała sobie twarz

rękami. Przez kilka minut nie było słychać jak tylko łkania jednéj i odgłos stąpania drugiéj ktora nie mogła pozostać w miejscu gdyż jej serce i arterje w gwałtowném były poruszeniu. Nakoniec stanęła przed Marją, porwała ją za ręce z gniewem którego nie była panią, i rzekła groźnym głosem:

— Czy mi przyrzekasz Marjo! że będziesz milczała, przyrzekasz mi że nikomu o tem nie powiesz?...

Biedna dziewczyna nie mogła jéj odpowiedzieć jak tylko spojrzeniem pełném wyrzutów.

— Otrzéj twoje łzy, gdyby kto przyszedł cóżbyś mu powiedziała?

Marja starała się być jéj posłuszną; pomimo jéj woli, źródło łez było niewyczerpaném..... Szeptała coś cicho tłumiąc swoje łkania.

— Widzisz sama że nie mogę się uspokoić!...

— Jednakże trzeba koniecznie, i musisz przed nikim nie wyjawiać tego coś widziała.

— O! zapewne... oto się nie obawiaj!

— Posłuchaj mnie: on jest stracony dla nas obudwóch, nigdy już tu nie przyjdzie, nigdy!

czy rozumiesz... ani do mnie ani do ciebie. Niech ci się nie marzy abyś mnie zwieźć mogła, gdyż wkrótce potrafię odkryć prawdę.

— Ale wszakże on ciebie kocha! zawołała rozdzierającym tonem. Te kilka słów zawierały gorzkie szyderstwo o którém biedna dziewczyna ani pomyśleć nie mogła.

— Mnie kocha, głucho mruknęła jéj siostra, mnie... jakiż dowód... zawołała podnosząc głos.

— Nie widziałamże was oboje!...

— Nieszczęsna zapomniéj o tem, niech ta tajemnica skona w twojem łonie! nigdy mi o niéj nie wspominaj! Marjo! słuchaj, ja żałuje mojéj słabości... ten człowiek którym teraz pogardzam, którego wypędziłam, nie pokażę się już więcéj przed nami, kochałam go, ty go jeszcze kochasz, ale on nie może żadnéj z nas poślubić, to jest niepodobném, przyrzecz mi że o nim zapomnisz, jak ja pamiętać o nim nie chcę.

— O! nigdy!

— Nigdy!... Marjo jeżeli noga jego postanie w tym zamku czy to we dnie czy w nocy

przysięgam ci że nie potrafi uniknąć ludzi których zasadzę aby śledzili jego kroki... biada mu! jeśli tylko słowo przemówię do mojéj ciotki lub matki!

— O moja siostro!

— Zapomnisz że o nim?

— O! będę się starała...

— Nazajutrz po téj scenie, Marja jakąś tajną drogą, któréj nie mogła dociec, znalazła w swoim pokoju pismo następujące:

„Marjo! aniele cnoty! któréj nigdy ani słowa nie wspomniałem o miłości, nie wierz własnym swoim oczom, nie jestem wcale winnym... kocham tylko ciebie, nikogo innego tylko ciebie samą! nie mogę ci powiedzieć tego co nieszczęsne pozory, które mnie oskarżyły, dotąd przed tobą ukrywają; twoja dusza nieskażona nie pojęłaby sztucznéj chytrości, która mnie wciągnęła....

Poznaję teraz wszelkie tajniki twojego serca... O! jestem daleko szczęśliwszy, aniżelim śmiał się tego spodziewać!.. Będziemy połączeni Marjo! połączeni na całe życie.. jeżeli tego zechcesz!... ale trzeba będzie na to odwagi: nie je-

stem szlachcicem, nie jestem bogatym.... ale przyszłość jest moją własnością!.. Marja i Włochy, a będę miał majątek i szlachectwo.“

Tegoż samego dnia, Jouani odebrał bilet pisany ręką Ludwiki, który zawierał te kilka słów: „Załączam kwotę należącą mu się za dawne lekcje.“

Jouani zarumienił się i zbladł ze wstydu na to poniżenie, oddał pieniądze przynoszącemu i napisał ołówkiem na tymże samym bilecie:

„Schowaj pani swoje złoto, lekcje którem dawał dostatecznie mi są zapłacone tą nauczką, którą od niéj odebrałem.“

Czując tem gorętszą miłość od sceny zaszłéj w pawilonie, wystawiona na zazdrość swéj siostry, Marja otoczona szpiegami zaprzedanemi Ludwice i służącemi przekupionemi przez p. Jouani, przebyła kilka dni w pomięszaniu, które list tajemny jeszcze bardziéj pomnażał; nadzieja, którą ożywił w jéj sercu nie mogła przytłumić bojaźni z pogróżek jéj siostry pochodzących, dla tego też obawiała się

i pragnęła zarazem, aby mogła zobaczyć tego który był celem wszystkich jéj myśli.

Miłość młodej panienki niezmierne czyniła postępy: w każdéj dnia chwili, a nawet i w cichości nocnéj, jeśli się obawiała obecności p. Jouani, nie była to bojaźń wstydliwa, dreszczem przejmująca; ale szło jéj tylko o niebezpieczeństwo na jakie mógł być narażony chcąc się do niéj dostać; „Wszystkie tajniki mojego serca są mu znane;" mówiła do siebie, nie mam już nic więcéj do ukrywania przed nim!... mnie jedną tylko kocha! Postępowanie Ludwiki lepiéj mnie o tém przekonywa aniżeli jego usprawiedliwienie się.... czegoż się z jego strony mam obawiać!.. Prześladowanie, samotność, byłyby ją podały przejętą niewinnością i czuciem w ręce Włocha, gdyby był wtenczas mógł się do niéj dostać; ale bądź że nie chciał nadużywać niedoświadczenia téj któréj przypadkiem odkrył tajemnicę, bądź że nie był wstanie utorować sobie pewnéj do niéj drogi, Jouani nie pokazał się w zamku, lecz zawsze niewiadomym sposobem, Marja uwiadomioną została

że się odważył prosić księżnéj o jéj rękę, i że ona mu jéj odmówiła z pogardą....

Rozpacz młodéj dziewczyny była bez granic odebrawszy tę wiadomość; nie mogła jéj ukryć przed przenikliwym wzrokiem Ludwiki, która z niéj żartowała bez żadnéj litości. — Albożja ci nie powiedziałam, mówiła do niéj, że jedno tylko moje słowo do ciotki wymówione, będzie dostateczném?

Jouani myślał że dosyć uczynił aby prawnie posiadał tę, którą mu ze wzgardą odmówiono. Nadto pewny iż był kochanym, aby się obawiał być przez nią zdradzonym, nie wahał się użyć wszelkich środków zobaczenia jéj pokryjomu.... Raz w wieczór gdy Marya wymknęła się z zamku i schroniła się w pawilonie, jakież jéj było zadziwienie i przestrach widząc go nagle stawającego przed nią; poznała go pomimo ciemności, krzyk skonał na jéj ustach, skoro pomyślała że może wydać tego który na wszystko się odważył aby ją widzieć.... Powstała chcąc uciekać, pierwszy raz przewidując może niebezpieczeństwo; ale Jouani zatrzymał ją mówiąc:

— Marjo!... nie pozostaje mi tylko nadzieja.

— Jaka?... zapytała drząc.

Nieszczęście poddało cię matce będącéj w obłąkaniu, krewnéj mniéj dbałéj o twoją przyszłość, siostrze która cię dręczy bez litości; nie możesz więc teraz do nikogo należeć jak tylko do tego który przysiągł w obliczu Boga uczynić cię szczęśliwą.... Odmówiono mi ze wzgardą tytułu małżonka, przychodzę ci go ofiarować na klęczkach.... Nie radź się tylko własnego serca, sama bowiem masz prawo przypomnieć mi że nie jestem ani księciem ani bogatym, jedno twoje słowo odmówne, a porzucę Francją poddając się twemu wyrokowi!

Włoch drżał z niespokojności — w cichości oczekiwał odpowiedzi, o której Marja nie myślała.

— Jedno słowo! tylko jedno słówko! mówił żebrzącym głosem....

— Ponieważ panu odmówiono mojéj ręki! mówiła nie wyraźnie.

— Nie mają tego prawa!.. jesteś panią twojego serca, twej przyszłości!.. zawołał! uniesiony nadzieją.

— Gdyby to była prawda!... odrzekła Marja tak cicho że Jouani ledwo mógł jéj dosłyszeć.

—Gdyby to była prawda, powtórzył on, cóżbyś uczyniła?

Za całą odpowiedź podała mu rękę którą on okrył pocałowaniami.

— Kiedy tak, posłuchaj mnie Marjo... będę twoim małżonkiem przed Bogiem, przed ludźmi, w obliczu tych wszystkich którzy chcą nas rozłączyć... ale trzeba się wyrzec tego zamku, twoich tytułów, twych bogactw, bo wierzaj mi, oni ci wydrą dziedzictwo twego ojca, jeżeli się odważysz im sprzeciwić... maszże dosyć mocy wyrzeczenia się wszystkiego dla mnie, który nic nie posiada tylko moją miłość?

— Gdyby nic potrzeba było jak tylko téj ofiary!

— O! uczyń ją Marjo.. z męstwem i nadzieją. Włochy! ojczyzna sztuk pięknych, nie odmówi nam przytułku, gdzie znajdziemy majątek i szczęście, powiedz słowo, a jutro będziesz na tamtéj stronie Alpów pod tarczą człowieka

który cię będzie pilnował jak siostrę poszanowania i miłości godną, a raz przybywszy do mojéj ojczyzny, u podnóżka ołtarza dasz mi tytuł którego oni mi odmówili, zezwalaszże na to? odpowiedz! chwile są drogie jeśli na to zezwalasz...

I Marja bezsilna, nie ma, nieporuszona, trzymając swą drżącą rękę w dłoni malarza, myślała o ciotce, o siostrze, o klątwie którą jéj matka na nią rzucić może, jeżeli zezwoli ujść z nim, wrzała krew w żyłach Włocha, któremu wachanie się Marji mogło się stać nieszczęsnem, gdyby go o téj godzinie zastano w zamku, dreszcz zimny go przeszedł na okropne skutki, któreby wyniknąć mogły dla obojga z najmniejszéj zdrady, sam siebie obawiał się gdyby był odkrytym, gdyż czuł żeby nie był panem utrzymać na wodzy swéj zapalczywości, i że jego odpór staćby się mógł zgubnym dla ludzi zamkowych chcących go zatrzymać, albo też haniebnie wypędzić.

— Jutro! jutro! odpowiedziała na jego naglące proźby.

— Jutro będzię za póżno, możemy być przez

ten czas zdradzeni. Wyjścia które porobiłem w murze mogą być odkryte, a tym sposobem narazisz moje życie i tych którzyby mnie spostrzegli przychodzącego tutaj jutro! Proszę cię Marjo, wypędź mnie tak jak mnie wygnała twoja siostra odkrywszy moją miłość ku tobie, albo przyrzecz mi, przysiąż że ze mną uciekniesz!

— O! moj Boże, a moja matka, a moja siostra!

— Z ich przyczyny umrzesz ze zgryzoty, a ja obiedwie zabiję jeśli się kiedy o tem dowiem.

— Joanni!...

— Marjo, odmów mi!... lub zezwól!... a jutro odjeżdżam do Włoch z tobą, albo z rozpaczą w sercu!

— Jutro z tobą!...

— O! dziękuję... weź to pismo, uwiadomi cię co masz czynić... Do jutra więc...

Wyszedł jak obłąkany. a Marja długo jeszcze opłakiwała swą obietnicę i skutki wyniknąć mogące, jeżeli jéj zabraknie mocy do zadość uczynienia jego żądaniom.

Wiernie dotrzymała przyrzeczenia, i los zdawał się opiekować jéj ucieczką... doświadczony przyjaciel pomógł panu Jouani, a tym przyjacielem był to Marcelle, który bez wiedzy swéj żony, towarzyszył Marji aż do Grenoble gdzie ją powierzył opiece jednego ze swych przyjaciół który ją przeprowadził przez Alpy. Marja chciała jechać sama: i dopiero w Turynie połączyła się z kochankiem.

Żal księżnéj, zawstydzenie staréj zakonnicy i gniew zapamiętałéj Ludwiki są nie do opisania, ale już było za późno gdy się dowiedziały o ucieczce Marji, nadaremnie po upłynieniu kilku miesięcy prosiła ona o darowanie winy, zagrożono jéj skasowaniem zawartych ślubów, gdyby się pokazała we Francji. Wkrótce Ludwika poślubiła wiarę małżeńską hrabiemu de Lerme który stał się jedynym dziedzicem dóbr rodziny książąt de Clary, za pomocą pozornéj sprzedaży uczynionéj na jego korzyść, i pensji dożywotnéj zapisanéj przez niego księżnie; uległa przesądom swéj bratowéj, zazdrości mściwéj swéj córki, umarła przekląwszy i wydziedziczywszy zbiegłą córkę.

Mzrcelle i jego żona stali się pastwą ich gniewu, dowiedziano się bowiem w zamku o udziale czynnym jaki on miał w téj intrydze; stary żołnierz śmiał się z tego, ale jego żona płakała wyrzucając mu nie raz że stał się przyczyną nieszczęścia jednéj nierozważnéj dziewczyny, na co ten odpowiedział:

„ Poszła za mąż za wybornego artystę i wa" lecznego żołnierza! nie należy jéj żałować, bo gdyby Jouani nie był uczciwym człowiekiem mógłby je był poślubić obiedwie bez księdza i rejenta.

W cztery lata potem, jakaś niewiasta czarno ubrana i zakfefiona, przyszła prosić o przytułek na folwarku, była to wdowa, biedna Marja de Clary, którą rozpacz sprowadziła do swego rodainnego kraju.

Marcelle i jego żona przyjęli ją z otwartemi rękoma, i ukryli przed wzrokiem tych którzy zdradzić mogli jéj obecność na folwarku; Marja kilka miesięcy mieszkała w małéj izdebce którą niegdyś zajmował Jouani tam wydała na świat jedyny owoc związków które zbrodnia zerwała. Jouani został bowiem szty"

letem przeszyty o pierwszéj godzinie po pół-nocy, wychodząc z salonów hrabiego de Lerme, który podowczas wyprawiał świetne uczty w Neapolu.... Czytelnik sobie przypomni malarza włoskiego zabitego po skończonym balu, o którym jest wzmianka w opisie lekarza Galjani...

Marja wydziedziczona, zostawszy wdową i matką, nie mogłą bez wzdrygnienia pomyśleć o przyszłości swojéj i swego dziecka, jéj rozpacz rozdzierała duszę gospodarza folwarku i jego żony, dla tego też przyrzekli sobie dobrodziejstwami zatrzeć winy które popełnili. Pani Marcelle przestała karmić swoje własne dziecię, dla karmienia syna wdowy, która nadto była cierpiącą ażeby mogła dopełnić tego macierzyńskiego obowiązku bez niebezpieczeństwa.

Marcelle sprowadził z Włoch zbiór obrazów roboty swego dawnego przyjaciela a zastawionych za znaczną summę; było to jedyne bogactwo biednéj Marji po śmierci jéj małżonka, jakaż jéj była radość, jaka wdzięczność, zoba-

czywszy pewnego ranka przebudzając się to co była zniewoloną zostawić we Włoszech! tyle uprzejmości i starań ukoiły jéj boleść i powróciły wkrótce do zdrowia.

Odjechała do Paryża z mocném postanowieniem wynalezienia sobie sposobu wychowania syna, i zawdzięczenia dobrodziejstw swych wiernych przyjaciół.

Ale list który od pana Marcelle odebrała dowiódł jéj że nigdy nie będzie wstanie wypłacić im to co dla niéj uczynili, treść tego listu była taka:

„Rewolucja pozbawiła cię części twego dziedzictwa z naszą korzyścią; druga połowa została ci wydartą przez twych krewnych, moglibyśmy byli przez zdrowe rady odwrócić od ciebie tę ostatnią klęskę, nie mało więc przyczyniliśmy się do twoich nieszczęść, dla tego też jest naszą chęcią wynagrodzić je ile to jest w naszéj możności; będziesz odbierać pod tytułem zwrotu, z wartości folwarku któréj mój ojciec nie wypłacił, summę trzy tysiące franków corocznie, i to aż od śmierci.... Pamiętaj nie odmawiać, gdyż przenieślibyśmy tę kwotę

na głowę dziecięcia któreś u nas zostawiła...

We cztery lata po odjeździe Marji, pani Marcelle odbyła podróż do Paryża odwożąc małego Jouani do matki.... Nadaremnie biedna wdowa chciała się rzucić do nóg swéj dobrodziejki... znajdowała się zawsze w objęciach poczciwéj Marcelle.

W rok późniéj właścicielka folwarku powiła córkę która stała się jéj jedyną pociechą, gdyż prawie w tymże samym czasie postradała swoje pierworodne dziecko i męża.

Takie to były wypadki rozrzucone po listach które Jouani znalazł w skrzyneczce.... krótka ich treść którąśmy dopiero opowiedzieli jest bardzo słabą w porównaniu z wyrazami boleści i zgryzoty którą listy wyrażały. Rozrzewnienie jakiego Jouani doznał czytając je, powiększyło się wspomnieniem imienia de Lerme które w nich było często powtarzane.... Ale cóż może mieć do czynienia z nim syn człowieka pode drzwiami którego jego ojciec zamordowanym został? Czyż Jouani padł ofiarą pana de Lerme, a syn przychodzi błagać prze-

baczenia dla pamięci ojca?... noc upłynęła w tych myślach dręczących umysł młodego człowieka, który radby był jak najprędzéj dowiedzieć się o rozwiązaniu tych domysłów, nie znajdujących się w listach jego matki. — Podparłszy głowę ręką, i ostatni list mając otwarty przed oczami zasnął właśnie wtenczas gdy słońce wschodzić zaczynało....

Kiedy się przebudził jakiś człowiek stał przed nim...



Spadek dziedzictwa.

XI.

Edward de Lerme stoi nieporuszony przy Adolfie Jouani z twarzą jeszcze bladszą i oczami bardziéj zapadłemi aniżeli wtenczas gdyśmy go zostawili w Lyonie. De Lerme zdaje się bardziéj zbliżony do grobu gdzie go poprzedziła siostra, a wszelako jego twarz nie wyraża innych uczuć jak tylko głęboką melancholją malującą się w całych rysach i nieporuszonym wzroku... Przypatruje się śpiącemu malarzowi, podającemu się we śnie zwodniczym ułudzeniom, które mu odkrywają taj-

niki przyszłości. A on na łonie rzeczywistego życia myśli o śmierci, o tym śnie głębokim który podług niego nie ma ani ułudzeń, ani przebudzenia, ta myśl zniszczenia która się przyczepiła do jego umysłu, jak sęp do piersi Prometeusza, rozdziera mu duszę i nie dopuszcza myśli o nieśmiertelności, któraby go powinna ożywić, dolegliwości ciała każą mu powątpiewać o istocie Boskiéj która się w nim zawiera. Sen, jest to jeszcze życie, śmierć zaś zniszczenie! mówił do siebie wpatrując się w zarumienione i ożywione rysy Adolfa, który marzy o matce, pani Marcelle i Cecylji. Kilka dni pierwéj, oglądał wybladłą twarz swéj siostry zmarłéj na jego ręku, widział jej oczy które już nie widziały, jéj usta skurczone i zsiniałe pozbawione tchu, ciepła, martwość zupełną, i wykrzyknął: już nic więcéj! nic więcéj! nie pamiętając że dusza opuściła to ciało śmiertelne, i że miała przed sobą całą wieczność; jeśli Bóg obdarzył człowieka władzą przewidywania swego zgonu, jest to dla tego że mu pozwolał przyjrzeć się ogromnemu niebu, ku któremu jego dusza uleci wychodząc z ciasnéj

powłoki zostawionéj na ziemi, dla czegóż cierpienia cielesne czynią człowieka niepamiętnym tak dalece, że powątpiewa o swoim Stwórcy...

Pomimo tego zniechęcenia, widać wszelako, że jakaś myśl pocieszająca przebija się niekiedy przez jego zasmuconą wyobraźnię: lekki uśmiech rozkwita na ustach, jakaś radość tajna jak jego myśl, ożywia wzrok ile razy Jouani zrobi poruszenie dające poznać że się przebudzi... De Lerme tego oczekuje z rozmyślną cierpliwością człowieka, który się gotuje dopełnić wielkiego czynu, który dodaje sobie serca aby uskutecznił bez słabości wspaniałe poświęcenie się... Jak tylko Jouani otworzył oczy snem pokryte i wydał krzyk zadziwienia poznając Edwarda, na twarzy tego zajaśniał wyraz radości objawiającéj się w jego spojrzeniu dotąd tak ponurém.... przejęci obadwa jednakowém uczuciem, powstali razem i rzucili się w objęcia jeden drugiego, nie powiedziawszy sobie ani słowa, jak dawni przyjaciele, jak dwaj bracia spotykający się po długiém rozłączeniu.

— Wiedziałem dobrze że cię tu znajdę, mówił de Lerme ściskając rękę Adolfa.

—I ja się tu ciebie spodziewałem, gdyż teraz na wszystko jestem przygotowany, odpowiedział Juuani rzucając pomimowolnym wzrokiem na listy po stole rozrzucone.

— Teraz mnie już więcéj nie opuścisz, tak jak w Lyonie.

— W Lyonie byłeś dla mnie obcym, tu jesteś przyjacielem, krewnym, gdyż wszystkiegom się dowiedział... zeszłéj nocy.

— Wszystkiego? och! nie, jeszcze mam wiele rzeczy do objawienia ci... te listy które pierwéj od ciebie czytałem, nie zamykają mojéj tajemnicy. Ale tak łatwo cię wszystko obraża co się dotycze twojéj dumy, że prawdziwie bałbym się powierzyć ci ją tak nagle.... twoje piękne przedsięwzięcie, mogłoby zniknąć jak politowanie któreś uczuł dla mnie w Lyonie!

— Nagana jaką zawierały te wyrazy, nie zgadzała się z wyrazem twarzy Edwarda. Pospieszył dodać.

— Ale jesteś godnym młodzieńcem i na twém miejscu, toż samo byłbym uczynił....

Pokazałeś się roztropniejszym odemnie który nie umiałem się zastósować do twojéj skromności, gdyż daleko pierwéj zrobiłem się twoim przyjacielem, nimem cię poznał; uroiłem sobie że powinieneś zaraz przyjąć i bez urazy, wszystko co chciałem dla ciebie wyświadczyć. Mnie to należało zniżyć się do twojéj mierności, a niebyłbyś odemnie uciekał, jestem teraz tego pewien; ale już dosyć o tém.... jak widzę, przepędziłeś noc na czytaniu opisu młodości twojéj matki i mojéj.

— To tedy czytałeś także te listy?

— Czytałem, były one pisane dla nas obudwóch.

— Jednakże nie są adressowane tylko do mnie samego.

— Adres tu nic nie znaczy; uwiadamiają cię o tém coś stracił, mnie zaś wskazują powinności które mi pozostają do wypełnienia — widzisz więc że się tyczą nas obudwóch.

— Ja cię nie rozumiem.

— Temu wierzę, ale odkryję ci zaraz tajniki moich myśli, których dotąd nikt nie był

powiernikiem oprócz pani Marcelle. Słuchaj mnie uważnie.... i nie przerywaj mi, gdyż jest to marzenie wielu lat mojego życia które ci mam opowiedzieć. Z okoliczności które może traf przygotował, dowiedziałem się, pomimo wszelkiéj usilności jakiéj użyto aby to przedemną utaić, że moja matka miała siostrę w Paryżu; poszlaki zebrane ubocznie bez stałego przedsięwzięcia, dały mi poznać że sama tylko Marcelle byłaby w stanie objawić mi co było przyczyną wywłaszczenia prawéj dziedziczki księcia de Clary; upłynęło nieco czasu nim Marcelle zezwoliła na powierzenie mi tych powodów, o które z razu domagałem się przez samą tylko ciekawość.... Ale miała nadejść chwila w któréj żądałem z naleganiem dowiedzieć się o nich, i to właśnie było wtenczas gdym się dowiedział o rodzaju choroby która mi wydarła ojca, pozbawiła niedawno siostry, a która niezadługo i mnie także zabije!...

— Ach!... Panie de Lerme, obiecałeś mi w Lyonie nigdy nie wymawiać tego słowa...

— Słuchaj, Adolfie! nie jest to pora do pozbawienia mnie téj myśli; ona mnie to popro-

wadziła na twoje spotkanie, ona mnie popycha ku tobie i kładzie w moje usta te wyrazy, w chwili, w któréj do ciebie mówię; jest to myśl konającego wtenczas kiedy dyktuje swój testament i zwraca komu należy z prawa dziedzictwo swych przodków. — Ta myśl jest w mojém sercu, w moich oczach, na mych ustach; towarzyszy mi we dnie i w nocy od wielu lat: mówi mi o moim ojcu, ona mi oznajmiła śmierć méj siostry, ona naznaczyła moją; ona mnie do niéj przygotowywa, do niéj popycha rozkazująca i panująca nad wszelkiemi memi władzami, nad całém mojem jestestwem; zdołaszże jéj nakazać milczenie? — W ówczas nie będę miał ci nic do powiedzenia.

Adolf stał jak skamieniały, widząc zimną krew tego człowieka który mówił o téj uporczywéj myśli, jak o szpadzie wiszącéj nad Damoklesem, któremu zdawało się podobać gdy obudzał tę torturę; nie wiedział czy go ma podziwiać, albo się nad nim litować i czy miał nazwać męztwem albo też słabością tę wytrwałość odpychania najmniejszego słowa nadziei i pociechy.

—Prosiłem cię ażebyś mi nie przerywał, przemówił de Lerme po kilku chwilach milczenia, powtarzam ci to żądanie....Było to wówczas kiedym stracił wszelką nadzieję przyszłości, wymagałem od pani Marcelle tłómaczenia tak dawno od niéj żądanego, nareszcie mi go udzieliła, nic mi nie zataiła, nawet o okolicznościach śmierci twojego ojca i o podejrzeniach które się unosiły nad moją rodziną...Możesz sobie wystawić co cierpiało serce moje słuchając takiego oskarżenia dwóch istot które najwięcéj na świecie szanowałem.... Och! wierzaj mi Jouani— na moją duszę, mój ojciec nie popełnił tego okropnego czynu o który go obwiniono.... moja matka także nie była winną w zdradzie, którą jéj przypisywano, przypadek wszystko zrządził; Hrabia de Lerme ktory znał twojego ojca w Neapolu, je szcze nim obadwa się pożenili, zaprosił go na bal do siebie, twój ojciec przyszedł nie wiedząc że Ludwika de Clary była małżonką hrabiego de Lerme. Nieszczęście dokończyło reszty może współzawodnictwo artysty.. — twój ojciec poległ.

Głos Edwarda był prawie błagający, wyma-

wiając ostatnie słowa które skonały na jego ustach — Adolf aż do łez wzruszony, podał mu rękę i rzekł:

— Mów daléj!...

— Pomimo wewnętrznego zapewnienia, że moja rodzina nie należała bynajmniéj do ostatniego i najokropniejszego nieszczęścia które spotkało twoją matkę, nie mogę zatrzeć w mojéj pamięci tego wspomnienia że hrabina wydziedziczyła i okryła przeklęstwem swą siostrę, za postępek któregoby sama się dopuściła, gdyby była nad nią otrzymała pierwszeństwo— ten występek ciężył na mojém sumieniu jak gdyby był moim własnym, i przysiągłem zniewolić moją matkę do naprawienia go kiedyś... Ten czas nadszedł, nagli mnie, gdyż mogę umrzeć nim obowiązek któregom się podjął zostanie spełnionym. Oh! żebyś wiedział ile ja się naprosiłem twojéj matki ażeby się skłoniła do moich życzeń!, długo mi tego odmawiała, szlachetna dusza nakazywała jéj oddalić nadzieję którąm jéj czynił powrócenia do dziedzictwa swéj rodziny, pókim

jéj tylko mówił o niéj saméj, była niewzruszoną, lecz gdy nakoniec wspomniałem jéj o tobie, nakłoniła się do moich próźb i wyjechałeś... dla odzyskania majątku który ci się z prawa należy, a ja niecierpliwy cię zobaczyć, poznać twoje serce nim się do niego dostanie żądza osobistéj korzyści, udałem się na twoje spotkanie, ciekawy poznać tego którego miałem prosić aby mnie zastąpił przy mojéj matce, tego któregom powoływał, prawie umierający, dla odziedziczenia mojego imienia i moich praw; dziedzictwo które ci zostawię, jest w części twojém własném... to które do mnie należy jest to dziedzictwo po moim ojcu... to jest tu w moich piersiach!

Jouani zbladł słuchając Edwarda: wszystka jego krew zebrała się około serca, zawołał wstając raptownie:

— Zajęcie się jedną stałą myślą omamia cię panie de Lerme, jest to samobójstwo powolne i okrutne ktoremu się poddajesz, ta myśl o śmierci z myślą wspaniałą spotkały się w twojéj wyobraźni, i poświęcasz się na ślepo jednéj aby druga mogla odnieść zwycięstwo.....

Ale się omyliłeś na sobie gdyż nie umrzesz, potém na mnie bo nie czuję się być dość mocnym aby wypełnić twe chęci.

De Lerme wpatruje się w Adolfa i odpowiada:

Chociażbym nawet nie umarł i gdybyś także odmówił mi twego uczestnictwa, czyż to dowiedzioném jest żem się zupełnie omylił..... jeżeli jest moją wolą ażebyś odzyskał majątek twojéj matki?

—Proszę cię zaniechaj to, zabraniam ci nawet tego, nie chcę nikomu być winien majątku o który się mam prawo dobijać, a moje przyszłe dobre mienie będzie tylko owocem mojéj pracy.

— Maszże prawo odmawiać to co ci twoja matka uczynić zaleca?

— Moja matka nie może chcieć tego czego szlachetna duma nie dozwala mi przyjąć.

— Jest to jéj majątek: zaleca ci działać dla niéj jeżeli tego odmawiasz dla siebie.

— Tak zapewne!

— Kiedy, tak to czytaj: De Lerme podaje

Adolfowi odpieczętowany list który dobył z pugilaresu:

Jouani czyta go szybko i zostaje kilka chwil w milczeniu...

— Powinienem poddać się jéj rozkazom, rzecze, ale ani ona, ani pan, nie pomyśliliście ile jest dla mnie przykrą rola którą na mnie wkładacie oboje.

— Cóż ma tak trudnego?

— Musiałbym być bardzo okrutnym egoistą, ażebym przyjął bez zastrzeżenia to co mi przedstawiasz, musiałbym moją myślą zawsze cię śledzić iż cię śmierć wkrótce ugodzi, trzeba żebym osiadł przy twojéj matce dając jéj poznać że nie powinna mieć nadziei zachowania cię przy życiu i że przybywam abym po tobie dziedziczył, otóż to jest prawda ogołocona z chytrości których musiałbym użyć dla ukrycia tego coby było zawstydzającém w mojem postępowaniu. Oh! nie miałeś tego wszystkiego w pamięci, panie de Lerme, i moja matka zapewne nie to myślała... Przystojna ambicja mogła ją skłonić do przyjęcia zwrotu majątku z którego była ogołoconą. Ale powiedzieć mi:

przyjmji jego dziedzictwo, gdyż ci go oddaje w przekonaniu że nie może ujść śmierci! Nie widzę téj myśli w tym liście który ci służy za upoważnienie. Będę posłusznym w tém co mi zaleca, dopomogę ci aby nasze matki do ciebie się zbliżyły... Ale nic więcéj, oh! nie, nic więcéj.

— Otwartość i szlachetność zarazem, przemówił z cicha Edward patrząc na niego z podziwieniem. Oh! chciałbym żyć, Adolfie, chciałbym żyć aby długo posiadać przyjaciela, brata, takiego jakim ty jesteś. — Jeżeli Bóg pozwoli przedłużyć dni moich, czego się nie spodziewam, będziemy nierozłączni aż do śmierci!...

Dwaj młodzi ludzie rzucili się w objęcia jeden drugiego powodowani uczuciem sympatycznėm.

— Posiadasz dar ożywienia mnie, obudzenia pociechy i szczęścia w mojém zbolałem sercu wówczas gdy pewność mego blizkiego zgonu wywiodła mnie naprzeciw ciebie, odzyskuje nadzieję i żądzę życia. Ach! gdyby tak się po-

dobało niebu, ileż dziękczynień miałbym mu do oddania za Anioła stróża i zachówawcę którego zesłało w miejscu łakomego spadkobiercy.

— Wybornie panie de Lerme, spodziewać się jest to już być szczęśliwym... jest to ze złém, walczyć orężem, którym nas bóg obdarzył, człowiek jest najnędzniejszą z istot, kiedy jest pozbawiony nadziei, a jest rzeczą okropną pomyśléć, aby ludziom naszego wieku brakowało rad tego bóstwa, które dawni przezwali poczciwą mamką starców. Czemże ona być musi dla nas, co mamy w naszych piersiach młode serca, młodą krew w żyłach, daleką przyszłość do przebieżenia, i co mamy prawo wznoszenia naszych modlitw do nieba...

— Kiedy tak, bądźże moją nadzieją uosobioną... moim jenjuszem przyszłości... bądź lekarzem mego umysłu, na to zezwalam. Teraz róbmy projekta, wielkie, ogromne! Jedźmy razem do Paryża, do Rzymu, razem! jeżéli będziesz widział że słabnę, rozprzestrzeń jeszcze więcéj kres naszych zamiarów, gdy mnie zoba-

czysz umierającego mów mi o życiu..? staraj się abym je polubił za pomocą wszelkich ułudzeń które dla mnie umiesz wynajdywać, zakryj przede mną grób aż do ostatniego mojego kroku.... Wiesz co, zrobisz mnie warjatem!...

I Edward sięga ręką do czoła które pała, do serca które bije z uniesienia, potem mówi daléj:

Powietrze zamku mojéj matki jest dla mnie zabójczém: zaledwie tam przybędę duszę się jak w łaźni parowéj; ruch, rozrywka, rozweselają mi serce; tutaj powietrze zdaje mi się żywszém, słońce mniéj gorącém, starania któremi mnie tam otaczają przykre mi się stają, smutne postawy służących, zmartwienie mojéj matki które znajduję mimo usiłowań jakie czyni aby je przede mną ukryć, odwiedzania Galjaniego, jego recepty bez końca, jego lekarstwa tak umiejętnie przyprawione, wszystko to zabija mnie powoli, nie śmiem chodzić, oddychać pić i jeść z obawy sciągnienia na siebie jego śledczego wzroku: ukrywam moje cierpienia

bojąc się obudzić łzę którą widzę w oczach mojéj matki. Ach! nie jest to żyć, jest to ciągła katusza, z tobą pewien jestem że znajdę rozrywkę w tych wszystkich szczegółach które się co dzień odnawiają... Żyć będziem jakeśmy żyli w Lyonie. Ach! lepiej jest umrzeć z utrudzenia jak z nudów, nieprawdaż? A potém mamy zamiar który nas bez przestanku zatrudniać będzie: dwie siostry zbliżyć, dawną nienawiść przeistoczyć w ścisłą przyjaźń, zatrzeć dawne wspomnienia i wskrzesić umarłego; spodziewam się że podostatkiem projektów!... Jouani, jakże ci się podobają?...

Tak dwie godziny upłynęły, potém nasi dwaj przyjaciele rozstali się przyrzekając sobie nawzajem że się wkrótce zobaczą... Ale de Lerme wstąpiwszy za próg wielkiéj bramy zwierzyńca, był tak smutnym, tak słabym, jak kiedy przybył na folwark, jego zły jenjusz, sam z nim zostawszy, wziął górę nad jenjuszem nadziei.

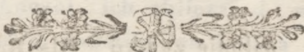
W kilka godzin póżniéj Jouani odebrał

bilet napisany ręką hrabiny w tych słowach:

„ Dołączam moją prożbę do zaprosin mojego syna abyś był łaskaw zaszczycić nas swoją bytnością; mam panu podziękować osobiście za przyjemne chwile które mój Edward przepędził w jego towarzystwie...

„Przyjmij zapewnienie mojego poważniania i wdzięczności.

Ludwika de Clary, hrabina de Lerme.



Pół-zwierzenie się.

XII.

W jednym salonie zamku (de Bourg-neuf) obszernym i bogato ozdobionym jedwabnemi obiciami, siedzi kobieta łokciem oparta na poręczy hebanowego krzesła, w którém jest prawie na pół leżącą, oddana głębokiemu zamyśleniu, a to być musi bardzo bolesném, gdyż dwie duże łzy spływają po jéj policzkach mocno rumianych; jest to hrabina de Lerme, słusznéj i szlachetnéj postaci, nie podobna bynajmniéj

do téj Ludwiki de Clary o któréj była mowa w jednym z poprzedzających rozdziałów.

Więcéj niż lat dwadzieścia przeszło po rysach pysznéj młodéj dziewczyny, a nieszczęście łagodząc je pozostawiło szlachetny wyraz cierpień który zamiast zniszczyć piękność podwoił jéj wdzięki; hrabina Lerme pomimo czterdziestu lat, jest piękną do zastanowienia, jéj kibić wysoka i wspaniała, czarność włosów, białość lśniąca jéj płci, urocze zarysy szyi i rąk... prostota żałobnego ubioru, tworzą ogół czarujący oczy, i przenikający do serca.

W dawniejszych czasach kiedy w umysłach gminnych królowe miały być kobietami szczytnemi z piękności ich oblicza i wspaniałości postawy, ludzie padaliby na kolana przed hrabiną de Lerme gdyżby im przedstawiła obraz najpiękniejszéj królowéj na świecie, nie ma w niéj nic coby przypominało młodą panienkę, ale posiada wszelkie doskonałości których kobieta dosięgnąć może; nie podnieca żądzy lecz się każe kochać i szanować, jest to bóstwo przed którém Galjani oddawna bije pokłony.

Przy niéj stoi mały stoliczek na którym są

rozrzucone kawałki papieru pokryte pismem pomazanem... łamie w swych palcach pióro niezdolne oddać jéj myśli, a drugą ręką wspartą na stole gniecie nieczytelne kopje które nic nie wyrażają z tego co chciała napisać; ten podwójny ruch nerwowy który pomieszanie umysłu nadaje jéj palcom, został wstrzymany; nagle porywa się, odsuwa stolik i woła: Nigdy nie będę wstanie! potém rozdziera papier, wyrzuca z niecierpliwością szczątki i znowu mówi A jednakże, Boże mój! nie ma innego sposobu!...

Znowu siada, — tymczasem drzwi salonu się otwierają, powstaje ocierając łzy, bieży naprzeciwko syna i ściska go serdecznie...

— Nadto rano wyszedłeś z domu mój Edwardzie, a nawet nie powiedziawszy mi dobry dzień...

— Niebo było tak piękne, pragnąłem bardzo oddychać świeżém powietrzem... nie mogłem spać w nocy.

— Może jesteś chory?...

— Pali mnie w piersiach, moje siły słabszemi co chwila się stają.

— Czy się widziałeś z Galjanim dziś rano?

— Nie!... Na cóżby mi się zdało z nim zobaczyć... alboż wyleczył moją siostrę?

— Jakże jesteś okrutny, Edwardzie!... Hrabina zanosi się od płaczu, czyniąc ten zarzut swojemu synowi.

— Dla czegóż mi to mówisz?... Nie jestże to prawda?... Wszakże wszystko co mi zapisuje, zamiast coby mi miało pomagać, zdaje się iż powiększa moje cierpienia! Nie chcę się więcéj do niego udawać... Sprzykrzyło mi się być powołnym jego nieużytecznéj i ograniczonéj sztuce, spuszczam się na przeznaczenie, oczekiwać będę mojego losu...

Biedna mntka słuchając swego syna stanęła jakby skamieniała z boleści, wlepiła w niego oczy napełnione łzami... złożyła ręce jakby go chciała o co prosić.... a on mówił daléj nie uważając ile była pomieszaną:

— Zdaje mi się iż byłem wcale inny kiedym był ztąd daleko... w Lyonie... siły moje powróciły, nie miałem takiéj duszności; ruch,

roztargnienie, może mnie uspokoiły; mniéj myślałem, i cierpiałem też mniéj.

— O to dobrze! kiedy tak jedźmy razem.

— Teraz już zapóźno, nadchodzi jesień, listopad niedaleko, wszystko jedno umrzeć tu lub gdzieindziéj!

Hrabina krzyknęła i chce wstać, upada na krzesło i wydaje ciągłe łkania. Edward rzuca się jéj na szyję... i woła:

— Och! przebacz mi, moja matko, przebacz!

— Edwardzie!... Edwardzie!... jeżeli ty umrzesz i ja także umrę.

— Nie moja matko, ty nie umrzesz.

— A więc i ty żyć będziesz... Pamiętaj mieć nadzieję, gdyż moja jest tylko w tobie jednym... po zgonie każdego drogiego mi przedmiotu, moja przychylność dla ciebie podwajała się. Nie mam tylko ciebie... i moje życie jest przywiązaném do twego. Czy rozumiesz abym znieść mogła tę stratę, jakem zniosła tyle innych? Wsparta na twém ramieniu czuję dosyć mocy pójść aż do grobu twojego ojca,

twojéj siostry... Ale... Och! umrę obok twojego...

— Bóg może cię wysłucha...

— O! gdybyś ty chciał... gdybyś mógł zapomnieć o téj nieszczęsnéj myśli..,

— Albož ja jestem w stanie?...

— Ale bo ona jest fałszywa, ona cię oszukuje mój Edwardzie!

— Wczemże?... Albož mój ojciec i moja siostra nie są w grobie!

— O mój Boże! mój Boże!... Gdybyś wiedział...

Hrabina drży w rękach syna swego...Blednieje wymówiwszy te kilka wyrazów.

— Cóż ci jest moja kochana matko? Zawołał wpatrując się w nią z zadziwieniem.

— Widzisz jest to tajemnica, tajemnica która mi ciąży i którą trzeba będzie ci wyjawić..... Ale potrzebować będę wiele odwagi!.:,

— Tajemnica?

— Tak jest Edwardzie, skrytość którą nie myślałam nigdy że będę musiała ci wyjawić. Muszę być bardzo pewną twojego serca ażebym

ci mogła dać tę obietnicę, która zawiera straszne poświęcenie się, ale dla ciebie ja uczynię to chociażbym nawet postradać miała twoją miłość i uszanowanie... Dla zachowania twojego życia, dla oderwania cię od téj śmiertelnéj myśli która cię dręczy i zabija, przytłumię głos mojéj dumy, dozwolę mówić mojemu sercu! Jutro wszystkiego się dowiesz.

— O! nie, nie, niepowierzaj mi téj okropnéj tajemnicy jeśli cię ma kosztować tyle poświęcenia... Na cóż mi się ona przyda? czyliż ona zachowa życie?

— Zachowa, bo będziesz miał dowód że nie jesteś suchotnikiem, że ta choroba znajduje się jedynie tylko w twojéj wyobraźni...

De Lerme przestraszony wyrazami swéj matki, wpatruje się w nią wzrokiem zadziwionym i zdumiałym, stars się wyczytac w jéj oczach czy nie jest w obłąkaniu, lecz nie widzi na jéj twarzy tylko wyraz bolesnéj prawdy, który mu nie pozwala powątpiewać że się znajduje przy zdrowym rozsądku: co za szczególna tajemnica, i pocóż oczekiwać do jutra jeżeli ma zdziałać taki cud niesłychany?

— Moje usta nie mogą jéj wymówić!...

— Jestże więc tak straszną?

— Dość tego na teraz, Edwardzie nie mówmy o tém więcéj: jutro, czy rozumiesz? jutro wiedzieć będziesz o wszystkiém, a niech mi Bóg nagrodzi męki, jakie cierpieć będę aż do téj chwili.... Pójdź usiądź na tym taborecie, przy moich nogach, tak jak wczoraj, połóż głowę na mych kolanach, może zaśniesz i zapomnisz o tém com ci dopiero powiedziała; gdyż jesteś blady i zmieniony.... Niespokojność dla ciebie jest szkodliwą, moje dziecię!

— A dla czegóż nie miałbym doznawać tego samego, czego ty matko doświadczasz? alboż twoje rysy są mniéj zmienione niż moje? czegóż się nie mam lękać, kiedy znajomość téj tajemnicy tak ci jest nieszczęsną?.. Jakiegoż ona być musi rodzaju, kiedy tobie sprawia tyle wzruszenia?

— Nie możesz mnie zrozumieć moje dziecię! Moja wina żem obudziła w twém sercu te domysły; ale bądź wspaniałym i nie mów mi więcéj o nich przez cały ten dzień; powiedz mi coś dzisiaj robił, gdzieś był rano?.. Nieszczę-

śliwa matka siliła się na uśmiech chociaż jeszcze miała łzy w oczach.

— Gdzie chodziłem pytasz się? na folwark do Marcelle, a że chcesz rozerwać nasze myśli, muszę ci powiedzieć jedną rzecz, bo i ja także posiadam tajemnicę.

— O! dobrze moj Edwardzie! mówiła przyciskając go do siebie.

Zrobiłem w Lyonie szczególną znajomość; w domu zajezdnym gdziem mieszkał, zapoznałem się z pewnym młodym człowiekiem, który podróżuje dla swéj rozrywki i nauki; wykształcony umysł i dobre serce tego młodego artysty, gdyż jest to malarz! o! ale malarz już odznaczający się mimo swéj młodości, sprawiły żem bardzo przyjemnie przepędził z nim ośm dni; on szczęśliwy i wesół, zapalony i żywy, jak to bywa w jego wieku; ja smutny i cierpiący, zniechęcony i ociężały jak zawsze; pomimo sprzeczności naszego ciała i umysłu, odkryliśmy wiele wzajemnego współczucia; podzielał on moje frasunki i osładzał cierpienia z troskliwością braterską, a ja dzieliłem niekiedy jego zapał i czułem, że odzyskuję przy

nim życie; jego pocieszenia, wyrażenia artysty, spojrzenie, uśmiech, udzielały mi tego zbytku życia, jaki płynie w jego żyłach; podczas naszych przechadzek po dolinach i wzgórzach, w naszych wycieczkach naokoło Lyonu, ciągle ożywiony jego wesołą rozmową i umiejętnemi postrzeżeniami, czułem żem odzyskiwał życie, i męztwo powracało do mojéj duszy; o! moja matko, bardzo to jest godny młodzieniec ten malarz!

— Czemuż cię opuścił, czemuż tu z tobą nie przyjechał?

— Dla tego że mi się zachciało udawać wielkiego pana; a jego szlachetna duma do tego się nie przychylała... opuścił mnie aby daléj odbywał swą podróż, alem go znalazł w Arles.

— On tu jest!... O! to napisz do niego aby tu przyszedł.

— Przyjdzie jak się spodziewam, przyjdzie bądź tego pewna; jest to życzenie mojego serca.

— Gdzież on mieszka?... napiszę do niego.

— Nie potrzeba tego moja matko, byłem dziś rano aby go do nas zaprosić; mieszka u wdowy Marcelle.

— U Marcelle! zawołała hrabina z zadziwieniem.

— Cóż to dziwnego? Albo wdowa Marcelle nie może mieć przyjaciół tak jak i my.

— Zapewne... ale bo to jest rzecz osobliwsza, mówisz że jest malarzem?...

— Tak jest malarzem....

— Jak się nazywa?

— Adolf.

— Czy nie ma innego nazwiska?

— Nie powiedział mi.

— To szczególnie! wymówiła z cicha hrabina będąc pomięszaną, co nie uszło uwagi syna, który z niéj oczu nie spuszczał.

— Ukrył przedemną swoje nazwisko, ale mi powiedział kilka wypadków o swojéj rodzinie i odgadłem zaraz powód tego zatajenia; jego matka jak się domyślam, pochodzi ze znakomitéj rodziny, ale że w swéj młodości uwiedziona miłością zawarła śluby małżeńskie z człowiekiem nie równego jéj urodzenia, przez to została od rodziny wydziedziczoną; uciekła ze swojéj ojczyzny i może to z téj przyczyny ukrył mi na-

zwisko swojego ojca.... Nie prawdaż? iż mój domysł jest do wiary podobnym.

Hrabina de Lerme tak była zmieszaną i zakłopotaną, że chciała to pokryć uśmiechem, który bardzo źle odbijał przy bladych jéj licach; niby to nie zważając na pomięszanie swéj matki, Edward daléj prowadził opowiadanie;

— Przyznaj że to jest rzeczą szkaradną, wydziedziczać swoją własną siostrę, bo mi on powiedział że to siostra jego matki wszelkich użyła sposobów dla odwrócenia od niéj względów rodziny... Jest to prawdziwie naganny postępek spełniony na téj biednéj dziewczynie, która się nie radziła jak tylko swego serca.

— Co za szczególna historja!

— A która mnie rozczuliła aż do łez: myślisz że ta kobieta musi doświadczać zgryzoty wspomniawszy na swą siostrę?

— Może też ją spotwarzono.

— Czy sądzisz że ona przy swojéj wielko-

ści, przy bogactwach, wiedząc że jéj siostra jest ubogą, wyklętą, i może równie także matką jak i ona, może używać w pokoju i szczęściu, téj części dziedzictwa któréj pozbawiła swą siostrę?

— Ale, Edwardzie ja nie pojmuję co ma znaczyć to badanie?

— Oh! to dla tego że cię znam jako dobrą matkę i że byłabyś dobrą siostrą gdybyś ją miała; to dla tego, iż chciałbym usłyszeć że naganisz taką kobietę.

— Możeby ją należało raczéj żałować aniżeli potępiać.

— Żałować ją! a to dla czego? wszakże ona nic nie straciła!

— Cóż ty możesz wiedzieć, Edwardzie? zły postępek pociąga za sobą nieszczęście, a nieszczęście dosiągnąć równie może majętnego jak zostającego w mierności...

— Zły postępek! wszakżeś to powiedziała! o! dziękuję ci za ten wydany wyrok.

Hrabina spogląda na niego z przestrachem, stara się wyczytać w jego oczach prawdziwe

znaczenie wyrazów które dopiero wymówił.....

— Dla czegóżto? wykrzyknęła z uściskiem...

— Bo i ja ją także osądziłem być winną, i rad jestem że moje zdanie potwierdzasz. Jak zobaczysz Adolfa uczujesz jeszcze mocniéj niesłuszność téj rodziny, ciążącą za błąd matki nad młodzieńcem tyle szacunku godnym.

— Ale ty go zaledwie poznałeś!..

— Albożto ośm dni w ścisłéj przepędzonych poufałości nie są dostatecznemi do ocenienia przymiotów serca i umysłu tego który nie ma żadnéj przyczyny przymuszenia się? Prócz tego Marcelle zna go od dzieciństwa, a jéj pochwały bardziéj mnie jeszcze przeświadczyły o cnotach Adolfa, których miałem sposobność doświadczyć; trzeba posiadać wielkie zalety moja matko,, ażeby wytrzymać społeczeństwo przez ośm dni chorego, nudnego i wymagającego, ażeby uczuć politowanie dla człowieka, którego się nie zna i być powolnym bez przymusu na wszelkie jego dziwactwa: taką się okazała jego dobroć dla mnie. Co się tycze jego wzniosłości umysłu,

dosyć będzie ci powiedzieć, że on sam tylko dotąd potrafił natchnąć mnie choć na chwilę nadzieją, która mnie wraz z nim odstąpiła.... O! potrzebuję go widzieć przy sobie... przyjdzie, zobaczysz go i będziesz go kochała jak syna, jak krewnego.

Edward całował rękę matki dając jéj to zapewnienie.... Hrabina cierpiała więcej aniżeli to dawała postrzegać, mocne bicie serca wznosiło jéj piersi. Uczucie ciekawości i obawy sprawiało, że pragnęła i lękała się zarazem zobaczyć owego Adolfa, o którym mówił Edward z takim zapałem i przekonaniem.

Usiłowała w siebie wmówić, że podobieństwo wypadków tego zdarzenia z jéj dawniejszém postępowaniem, nie istniało tylko w jéj niespokojném sumieniu.

Nie śmiała już więcéj wypytywać Edwarda, z obawy obudzenia jego podejrzeń o przeszłości; o któréj sądziła, iż zupełnie nic nie wie. De Lerme oparty łokciem o kolano matki, a głową na swéj ręce, zatopiony był w słodkiém marzeniu, które nadawało jego rysom wesołość, jakiéj nie miały przed kilku chwilami; po-

tém idąc za popędem nagłéj myśli wstał i rzekł;

— Mówiłaś mi że do niego napiszesz, namyśliwszy się proszę cię, byś tego dopełniła; Franciszek zaniesie mu twój bilet...

Edward nie czekając odpowiedzi przysuwa mały stolik przed hrabinę, dodając:

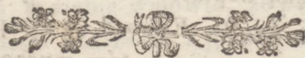
— Dobrześ muwiła że nie będzie już miał żadnego powodu do odmówienia... Jakążby miała pobudkę nie dopełnić tego, do czego sama piérwszą myśl podała? ... Hrabina żadnéj nie znalazła.

Drżącą ręką napisała bilet który jak wiemy doszedł rąk Adolfa, Edward go zapieczętował, podpisał na wierzchu, potém wyszedł z salonu zostawiając swą matkę przejętą najżywszą niespokojnością.

Wtenczas kiedy mamy umysł niespokojny znajdujemy się częstokroć tak silni że potrafiemy spełnić czyn który nas najwięcéj kosztuje... z tego to nacisku obawy która cięży na naszym umyśle wychodzą te mocne postanowienia za jednym razem ustalające nasze

przeznaczenie. Hrabina niepokojona obietnicą daną synowi, jako też podejrzeniem jakie ma o Adolfie, znajduje dosyć mocy do wytłómaczenia w kilku wierszach, w kilku słowach, tę wielką tajemnicę którą przyrzekła wyjawić nazajutrz Edwardowi... Ręka była posłuszną jéj myślom, nie ma czasu odczytać co skreśliła na papierze, i chowa, słysząc zbliżającego się de Lerme.

Jutro przebudzając się otrzyma to bolesne wyjawienie tajemnicy.



ZŁY JENJUSZ.

XIII.

Kiedy na folwarku wszystkie twarze jaśnieją szczęściem z powrotu Adolfa, w zamku oczekują na niego z niespokojną ciekawością z jednéj, a z żywem upragnieniem z drugiéj strony, jakaś szczególna niespokojność nakształt febry opanowała doktora Galjani.

Lekarzowi włoskiemu zamkniętemu w pawilonie Doliny djabelskiéj, zdaje się po raz pierwszy brakować powietrza i miejsca, jak tygrysowi znajdującemu się w ciasnéj klatce: głuche jęki wydobywają się z jego piersi wzdę-

tych burzliwém kołataniem serca, a których moc i szybkość podwajają się w miarę upływania czasu, nie przynosząc żadnéj odmiany jego dziwnemu położeniu... Cóż mu więc jest.

Jeżeli wolno wierzyć w nieszczęsne przeznaczenie, słowo które Galjani wielekroć powtarza, wznosząc rękę do czoła okrytego obfitym potem, jeżeli wolno, mówiemy, wierzyć w tę prawicę która niewidzialnemi sprężynami porusza łańcuch zdarzeń mających omylić najczujniejszą przezorność, Włoch ma prawo oburzać się przeciwko wyrokom téj władzy nieznanéj, co go popycha do zbrodni, pomnażając przeszkody które usiłuje od lat dwudziestu uprzątnąć, to jest od czasu jak pierwszy krok zrobił dla zbliżenia się do celu którego nie dosięgnął; przeszkody dziś wznoszące się w postaci daleko groźniejszéj; nie wiedząc czy ma się cofnąć, lub iść jeszcze daléj.... Syn człowieka zamordowanego w Neapolu, tego Jouani, malarza włoskiego którego Ludwika de Clary kochała, a hrabina de Lerme nad niego przeniosła w Neapolu, uszedł jego czujności, przybył do Arles, a nawet aż do

zamku, gdzie przychodzi bez wątpienia zająć miejsce które ojciec jego posiadał w sercu hrabiny.

Galjani który pracował przez lat dwadzieścia ażeby odosobnił od wszelkiego czucia tę duszę któréj pokonać nie zdołał, on, który wszelkich sił użył dla powolnego wymordowania przedmiotów rozmaitéj miłości téj kobiety, jeszcze w chwili kiedy śmierć zbliża się do ostatniego jego rywala, którego natura mu dała w Edwardzie de Lerme, i kiedy ona ma już się zdać na jego łaskę; wtenczas kiedy rozumie że boleść przymusi hrabinę do rzucenia się w jego ręce, słabą odosobnioną i bez obrony, w ówczas skutkiem nieszczęsnego przeznaczenia, widzi powstającego między nią i nim syna téj siostry którą sądził na zawsze wygnaną z zamku swych przodków, syna tego oblubieńca Jouaniego, który zostawił w pamięci i sercu Ludwiki de Clary nie zatarte wspomnienie które się bez wątpienia zamieni na słodką przyjaźń a ta u hrabiny zajmie miejsce tylu uczuć zniszczonych....

Jego wzrok w którym wściekłość błyszczy, często się zwraca na zegar, a jego jednostajne poruszenie podwaja w nim nie cierpliwość. Krew bije w jego żyłach dziesięćkroć razy prędzéj jak zwykle, a serce dwadzieścia razy na sekundę; oczekuje kogoś który nie przybywa. Jakieś nazwisko arabskie z ust jego wychodzi, imie które wywołuje, jak gdyby ten który to imie nosi mógł go usłyszeć, a które możnaby wziąść za przywoływanie jakiego złego ducha, gdyż jego oczy się świecą, bądź z nadziei bądź z gniewu gdy je wymawia.

Jest to Abdalah, mulat, na którego tak niecierpliwie czeka, powiernik jego zgryzoty i nadziei, tajny wykonawca jego pierszéj zbrodni, przezorny uczestnik tych które późniéj popełnił.

Już gęste cienie pokrywać zaczęły dolinę, słońce zaszło za najwyższe drzewa zwierzyńca; nadchodzi noc nie przynosząc żadnéj ulgi w niespokojności Galjaniego, który wpadł w otrętwiałość, a z niéj mogłoby go tylko wyprowadzić przybycie mulata.

Noc, ten cień uroczy, który ciąży nad udręczonem sumieniem zbrodniarza, i przejmuje go całym swym strachem pozbawiającym nadziei bezkarności którą zachowuje do ostatniéj chwili oddając go samemu sobie, działa potężnie na zmysły Włocha, a przymuszając jego myśl do cofnienia się ku chwilom szczęścia ktore postradał, pociąga go do przypomnienia sobie dwudziestu lat które marnie strawił na nieużytecznych zbrodniach; przywodzi sobie na pamięć gorzkie łzy które hrabina wylewała z jego przyczyny, powolne i śmiertelne cierpienia które zadał jéj małżonkowi, jéj dzieciom, szkaradną wytrwałość swojéj miłości za każdą ofiarą ktorą widział konającą za wpływem swéj trucizny tajnéj, niezostawującéj żadnego po sobie śladu; a łzy ciężkie i gorące jak roztopiony ołów płyną po jego policzkach wyschłych udręczeniem którém go sumienie trapi.

Coraz się więcéj ciemnieje a Abdallach nie przychodzi, Galjani nie myśli wcale o zapaleniu światła, otrętwienie letargiczne odejmuje mu prawie siłę podniesienia się z krzesła. Pogrą-

żony w swém okropném marzeniu, jego umysł otrętwiał, wszelako czuje całą słabość ciała i duszy w chwili gdy przystępuje może do nowéj zbrodni! albo też do zupełnéj zagłady nadziei z którą się pieścił przez lat dwadzieścia.

Uwiadomiony od wczoraj, o przybyciu Adolfa na folwark, nie zamknął oka przez całą noc ostatnią.... od czterdziestu godzin nie mógł się pokrzepić ani na chwilę spoczynkiem, a teraz pośród téj katuszy która mu co chwila barдziéj dopieka, sen ciąży na jego powiekach czerwonych i rozognionych. Można spać pośród cierpień: złoczyńca wpleciony w koło usypia i marzy o swoich boleściach i o swym kacie; równie i Galjani, oczekując przyjścia Abdalach, przejęty zgryzotą, oddany swéj namiętności, zasypia na chwilę nie doznając ulgi którаby mu pozwoliła zapomnieć o tem co go trapi.... same jego ciało uległo znużeniu, władze umysłowe nabyły tylko dzielności podobnéj do szaleństwa, szkaradna mara osiadła na jego piersiach, i dusi go całym ciężarem trupa; ta sina postać która go obejmuje i ściska

dwiema żelaznemi rękami, woła mu do ucha głosem brzęczącym i krzykliwym jak dzwonek: suchotnik!... a śmiechy szydercze i przeraźliwe odzywają się naokoło jego głowy, uszczypliwe, piekielne żarty szemrzą w jego sercu i sprawują drganie nerwów; passuje się we śnie z ciężarem który go przytłacza, wycieńcza się na nieużyteczne usiłowania: po trupie hrabiego de Lerne, który zdaje mu się że go przywala, następuje trup malarza Jouani, a po nim zwłoki siostry Edwarda, a nareszcie wszystkie trzy razem; jego to wierny mulat Abdallach, afrykański Arab, niewolnik którego wykupił z więzów, którego wyleczył z morowéj zarazy, on to jest który układa na nim jedne na drugich owe ciała duszące go swym ciężarem, i wołając do ucha: *suchotnik! potwarca! i morderca!....* które wyziewają na twarz jego ostatni oddech w krzyku zemsty. Szyję ściska jakby obręcz, która go piecze, ręce wtłoczone w rękawice żelazne, które mu obdzierają paznokcie i rozdzierają żyły; jego nogi są połamane i złożone na piersiach, dziesięć rąk z palcami jak haki zakrzywionemi, wpląta-

ne są w jego włosy, i zawsze połączony z trzema trupami które wkorzeniły się w jego ciało, czuje się być porwanym i rzuconym w przestrzeń niezmierną gorejącą jak piec rozpalony, gdzie jakaś niewidzialna władza nadaje mu ruch obracania się, tak szybki jak nam opisują obrót ziemi... czuje że się oddzielają od niego po jednemu ciała obejmujące go i które unoszą z sobą po kawale jego własnego, ponawiając swe okropne śmiechy... Wkrótce przestaje się obracać, spada na dół z przestrzeni z chyżością ciężaru, obudza się rozciągnięty na marmurze gdzie się stoczył pasując się we śnie. Swiece są zapalone... Abdalach przed nim stoi...

„ Tafle téj posadzki są zimne i twarde... panie... rzekł Mulat, pomagając Galjaniemu aby się podniósł i usiadł na krześle; musisz być słaby tak jesteś ziębły.

Przez kilka chwil, Włoch nie jest wstanie i jednego słowa wymówić, jeszcze zostaje pod wpływem strasznego i okropnego snu od którego Abdalach go oswobodził; usta ma zeschłe, pot zimny oblewa twarz zmienioną...wargi drga-

ją jakby był w konwulsjach, zęby szczękają, doznaje jeszcze całego przestraszenia okropnéj rzeczywistości, jego członki, szyja, piersi, są zbolałe jak gdyby wytrzymał tortury... o których marzył we śnie.

— Panie, czy jeszcze śpisz, chociaż przebudzony? rzecze jego niewolnik silnym głosem, mocno go wstrząsając; czyś zażył opjum zamiast reńskiego wina? panie Galjani!... to ja Abdalach.

Mdły wzrok Włocha zatrzymuje się na mulacie czekającym na odpowiedź.

— Jak Bóg jest Bogiem a Mahmet jego prorokiem, straszliwie wyglądasz w tym stanie; czy jesteś tak słabym że mi nie możesz odpowiedzieć?

— Ach! to ty! nakoniec wybełkotał Galjani przychodząc nieco do siebie.

— Oczekiwałeś mnie niecierpliwie jak się zdaje, czas prędko upływa kiedy kto tak śpi głęboko jak pan spałeś.

— Och co za sen okropny!... co za straszne męki! zawołał powstając z krzesła.

— Nie idzie tu teraz o sny, ale o rzeczywistość która musi pana żywo niepokoić. List posłany przez hrabinę na folwark był pod adresem Adolfa... cały dzień śledziłem kroki tego cudzoziemca, jest to ten sam który towarzyszył Edwardowi w Lyonie, odebrał zaprosiny i bez zwłoki udał się do zamku gdzie jest teraz.

— W zamku!... w zamku on!...

— Nic nie ma straconego jeśli tylko pan zezwolisz - on jest słaby jak młoda dziewczyna... mam ręce któremibym dwóch takich jak on pokonał... w wieczór pójdę za nim, rzucę się na niego na moście, przez który nikt nie przechodzi o téj godzinie kiedy on będzie z zamku powracał, porwę go — a Rodan szybko płynie. — Mulatowi wymknął się dziki śmiech, przypominający Galjaniemu te odgłosy krzyków które słyszał we śnie; dreszcz go przeszedł od głowy do stóp, wpatrując się z przestrachem w niewolnika nic nie pojmującego z wyrazów jego bojaźni.

— Tylko się tak nie śmiéj, Abdalach! i rzuca się znowu na krzesło zakrywając twarz rękoma.

— Musiałeś pan połknąć pazur djabelski, który cię pali i okrutnie dokucza, kiedy tak mało zważasz na nowinę którą ci przynoszę! Jakimże tedy sposobem uspokoił się gniew który cię ogarnął dowiadując się o przybyciu Adolfa do pani Marcelle i o postępku Edwarda? Ale bo zapewne pan mnie nie zrozumiałeś; siostrzeniec hrabiny, syn owego Jouani, od którego pana oswobodził w Neapolu, jest tu, taj, w téj chwili, w salonie, z hrabiną i jéj synem.

— No i cóż teraz czynić mamy? zawołał Galjani.

— Pan mnie się o to pytasz, wszakże dopiero com powiedział! Rodan unosi do morza śródziemnego kępy całe; a nie miałby unieść ciała tego człowieka od którego wszystkiego złego masz się obawiać!...

— Nie! nie! zakazuję ci tego, taka śmierć może zostawić ślady któreby mogły doprowadzić aż do mnie.

— Czy będziesz potrzebował tylu lat do pozbycia się tego co i tamtych? czegóż się w re-

szcie pan obawiasz, albož ci nie zaprzysięgłem się i czy nie powinieneś mi dać wiary?... czy myślisz że bojaźń śmierci i wzięcia na siebie całéj winy kazałaby mi zapomnieć o dwudziestu latach wolności którą ci winienem? Masz pan nieprzyjaciół, a ja się podejmuję ich zgładzić przez wdzięczność za dobrodziejstwa od niego odebrane, nie kocham tylko jednego chrześcjanina, gdyż wyrwał mnie z niewoli i dał mi życie, i zamordowałbym z zimną krwią wszystkich innych, bo ich nie kocham, tak jak pana.... Potrzeba ci innych dowodów mojéj wierności? urznij mi język! jeżeli będę pochwycony albo oskarżony przypadkiem, nie będziesz się obawiał żadnego objawienia z méj strony, będę niemym, a nie umiem ani czytać, ani pisać.

— Ty jesteś moim złym duchem.... Abdallach!

— Zły duch doradza ale nie wykonywa, ja jestem twoim czarnym psem, najwierniejszym przyjacielem i najgroźniejszym stróżem, pieszczotliwy dla ciebie, okrutny dla drugich, umrę jak pies, nie pomyślawszy o wydaniu mojego pana....

— Czyż nie możesz wiernie mi służyć bez doradzania nowéj zbrodni?

— Na cóż się przydadzą dawniejsze jeżeli się ta nie spełni?

— Czekajmy jeszcze, jutro będzie czas działania, może być że moja obawa jest niesłuszna, nienawiść którą hrabina czuje dla swojéj siostry, wzrośnie może dowiadując się że syn téj siostry ośmielił się jéj oczom przedstawić.

— Może być także, dodał Abdallach, przysuwając się powolnym krokiem że miłość którą czuła niegdyś ku ojcu Adolfa, ocknie się na widok syna, i że matka i dziecko powołani zostaną do zamku według żądania Edwarda de Lerme.

— Zły duchu!... znowu zawołał Galjani.

— Prawda niekiedy bywa piekielną! a podczas kiedy my tu spór wiedziemy, ona zapewne tam popiera swoją sprawą, jutro może Adolf będzie już mieszkał w zamku na zawsze; dziś w wieczór podług wszelkiego podobieństwa powróci na folwark... Od pana zależy aby tam nie dojechał a dalszą swą podróż odbywał wolą i tutaj więcéj nie wrócił!...

— Ale, zawołał Galjani, gdyby ci się nie powiodło, i gdybyś był poznany, uwięziony!..

— Jeżeli jest sam, biorę go na siebie, jeżeli zaś w towarzystwie... niech twój Bóg ci dopomoże, ja nic zrobić nie potrafię...

— Pamiętaj że najmniejsza poszlaka może cię obwinić.

—Powierzchnia rzeki nie jest to płaszczyzna piasku, ciało ludzkie nie może tam pozostawić znaku, a nie będzie wylanéj ani jednéj kropli krwi ani ze mnie ani z niego.

— A gdyby ci zabrakło siły.

— Zabrakło siły!.,. wybuch śmiechu daleko donośniejszy jak pierwéj wydobył się ze szkaradnéj gęby mulata, zabrakło siły! mnie który pięścią zabiłem niedawno na miejscu rozhukanego byka, przed którym wasi bieli mieszkańcy Arles, uciekali na wyścigi chociaż uzbrojeni w piki i kije.,. ach panie!... Afrykaninowi żeby zabrakło siły przed zniewieściałym człekiem... przed jednym francuzem!...

Przez grób Proroka! to żadnym sposobem być nie może...

Z pomieszania Galjaniego widział nadto dobrze niewolnik że sama tylko bojaźń wstrzymy-

wała rozkaz na który oczekiwał; oczy mulata błyszczały jak oczy hjeny wpatrując się w twarz swojego pana, gdyby wymówił jedno słowo a krzyk radości jak ryk drapieżnego zwierza wydałyby jego ochydne wargi, gdyż wahanie się Włocha rozdrażniło jego srogi umysł, a powątpiewanie jakie on niedawno okazał gorąco kazało mu żądać ażeby to dopełnił dla samego siebie, co chciał tylko uczynić dla Galjaniego. Los Adolfa Jouani zależał od sporu między temi dwoma ludźmi zamkniętemi w mieszkaniu Włocha. Wkrótce Afrykanin wyskoczył jak szalony i wyszedł dla zmienienia ubioru.... wnet wydrapał się na pagórek, dostał się do tajemnéj drogi w wąwozie skały, a pełzając na brzuchu i kolanach, wyszedł ze zwierzyńca uniknąwszy wszystkich wzroku.

Galjani dla uchronienia się dręczących go myśli, wypróżnił flaszeczkę elixiru którego on sam tylko znał skutek, i stał się zimnym jak bywał zwykle gdy się przedstawiał hrabinie.

W kwadrans potém był w zamku z Edwardem, Adolfem, i panią de Lerme. — Mulat nie powrócił tego wieczora na noc do domu.

Koniec części pierwszéj.

WSPOMNIENIA.

Pamiętasz jak nam upływały mile,
Dziecinnych latek złociste godziny,
Pamiętasz owe ukochane chwile,
Gdy każdy pragnął uśmiechu dzieciny.—
Raz tylko w życiu wiek taki nam świeci,
Przemija szybko znika bezpowrotnie,
Chętnie nas pieszczą dopókiśmy dzieci,
Lecz za to późniéj udręczą stokrotnie.

* * *

Pamiętasz krzewy i te lube kwiatki,
Które świadkami naszych uciech były,
Gdyśmy splatali wianeczek dla matki,
Ach! one razem z nami się cieszyły,
One i teraz spokojnie, szczęśliwie,
Nietknięte burzą w miejscu pozostały,
Złocistą szatą jaśnieją na niwie,
A nasze lube latka uleciały.

* *
* *

Pamiętasz.....—głos mój niknie z tym wy, razem
Bo już nie wrócą te lube godziny,
Znikły na zawsze i zabrały razem,
Wszystko co szczęściem było dla dzieciny
Szanujmy przyjaźń w lubych osób gronie,
Co z nami lata dziecinne spędzili,
Bliźnim w niedoli chętne dajmy dłonie,
Byśmy ich szczęściem, szczęśliwemi byli.

Jan H....

SPIS RZECZY

W TOMIE V ZAWARTYCH.

